

R 3178

213266

ΕΥΑΓΓΕΛΙΟΝ.

ALL CONTAINED

IN THE

Ewangelina

POWIEŚĆ AKADYJSKA

PRZEZ

HENRYKA WADSWORTH LONGFELLOW.

PRZEŁOŻONA NA JĘZYK POLSKI

PRZEZ

A. CH.

BIBLIOTH. SCRIPTORUM
PROV. GAL. SOC. JES.

POZNAN

NAKŁADEM KSIĘGARNI KATOLICKIEJ.

1851.



UNIVERSITY OF CHICAGO

POSTER, A. K. A. 13.5

A.2.315.

UNIVERSITY OF CHICAGO



BIBLIOTH. SCRIPTORUM

213266

K/G 176/9

W pierwszym Nrze drugiego półrocza 1850. roku *Przegląd poznański* umieścił doniesienie o wyszłym poemacie angielskim w Bostonie, pod tytułem EWANGELINA. Treść i rozbiór jego razem podane zostały. Znamienity i powszechnie przez publiczność polską ceniony sąd pisarzy *Przeglądu* zachęcił mnie do odczytania oryginału, a ujęty wdziękami obrazów, jak równie prostotą i interesownością treści, odważyłem się na przełożenie textu na język polski wierszem białym, jakiego użył autor. Mam nadzieję, że to, co mi było zachętą do przedsięwzięcia téj pracy, stanie się również powodem dla czytelników rozrywki i miłego zajęcia. Trudności przekładu starałem się pokonać, nie odstępując przynajmniej od myśli

oryginału, i jak najmniej rozwlekać. Czy odpowiedziałem temu założeniu? czytelnicy osądzą.

Nazwiska osób, miast i miejsc wołałem zostawić teżsame, równie roślin, drzew i kwiatów w krajach Polakom mało znanych, sądząc, że sam opis ich w oryginale do zapoznania się z niemi będzie dostateczny.

Pozostaje mi jeszcze wyrazić podziękowanie Szanownej Redakcyi *Przeglądu*, że mi rozbiorem tego poematu natchnęła myśl do téj pracy, jak też równie przeprosić, że kilka ustępów wierszem nierymowym, w *Przeglądzie* zamieszczonych, do mojego tłumaczenia ośmieliłem się przyłączyć — mając o tyle zmniejszoną pracę, a nie śmiejąc znowu wchodzić w spółzawodnictwo z autorem recenzyi, wołałem zostać dosłownym w tych miejscach plagiatu, co mi zapewne Szanowna Redakcyja, przez wzgląd na całość pracy, zechce przebaczyć. Żeby zaś zaznajomić czytelników z treścią zdarzenia w poemacie określonego, wyjmuję jeszcze z *Przeglądu* ustęp, który to objaśnia.

»Autor do swéj powieści wziął treść osnowaną na fakcie historycznym. — Akadyą zwała się ta

część Ameryki północnej, którą dziś zajmuje nowa Szkocya, nowy Brunświk i część Kanady — należała do Francyi i osadnikami téż w wielkiej części byli Francuzi. Francya kraj ten odstąpiła Anglii traktatem utrechckim; wkrótce namnożyło się kolonistów angielskich i awanturników ze wszystkich stron świata, którzy coraz bardziej poczynali dokuczać zasiedziałym oddawna Francuzom i przymuszać ich do odstąpienia wiary katolickiej. Rząd, jeśli sam nie poduszczał tych prześladowań, to im sprzyjał przyjemnie. Gdy one jednak stałości uciśnionych poruszyć nie zdołały, sam przedsięwziął skruszyć ich opór i pozbyć się na zawsze niewygodnych różnowierców. — Protestantyzm, który tak głośne rości prawa do tolerancyi, dowiódł tu jak postępuje, ile razy ma siłę za sobą. Ówczesny pierwszy minister angielski Chatam, na raz jeden rozkazał, aby upornym osadom zabrać cały majątek, a osadników rozproszyć po całym rozległym brzegu Ameryki północnej. Miejscowy gubernator Lawrence wykonał ten rozkaz z całą zapalczywością srogiego urzędnika i nieugiętego Puritanina. Do jednej z takich nadbrzeżnych wio-

sek przybyły okręta angielskie dnia 5. Września 1755. roku, zabrały cały dobytek mieszkańców, wieś puściły w perzynę, a podzieliwszy jeńców bez uwagi ani na wiek, ani na stan, ani na krwi związki, rozwiozły ich po różnych i odległych od siebie stronach, żeby raz rozdzielonym nie zostawić najmniejszej połączenia się nadziei. Tę to katastrofę i późniejsze przygody dwojga kochanków szukających się nawzajem, opisuje poeta.»

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Jest pierwotny bór jeszcze! — gdzie sosny szumią posepnie

W stroju chmielu zielonym, w miękkich mechów lekkiej
osłonie;

Widne tylko w półcieniu — stoją by dawne Druidy

Z głosem wieszczym i smętnym — lub jak sędziwi artiarze

Z srebrzystemi brodami spadającemi na piersi!

Oceanu zaś fale z groźnych swych głębin, o skały

Uderzając spadziste, toczą ponurą rozmowę,

A bór z szumem powiewów żale posepne roznosi!

Jest pierwotny bór jeszcze! Gdzież serca, które się
kryły

Po tych kniejach, jak sarny gdy głos myśliwców zasłyszają?

Gdzież są dachy słomiane dzielnych Akadyi mieszkańców?

Których żywot tak płynął jako strumienie wśród lasów,

Cień je ziemi zamroczy, niebo je znowu rozjaśni.

Niegdyś także obszerne włości tu stały rolników,

Na zawsze ztąd rozpieczętych, jak pył i liście rozwianych,

Gdy je wicher jesienny w silnym unosząc zapędzie
 Skręci wirem, a potem rzuci w Atlantyck bezdenny!
 Dzisiaj z wioski tej pięknej, którą *Grand Pré* wprzód zwano,
 Nie zostało nic, tylko dawne istnienia podanie!...

O wy! którzy wierzycie w uczuć wytrwałość, w na-
 dzieję!

Co wielbicie w kobietach moc przywiązania i stałość!
 W sosien śpiewie słuchajcie pieśni tej boru posępną
 O miłości w Akadyi! — dawniej mieszkaniu jej błogiem.

I.

W środku krajów Akadyi — po nad Minaską zatoką
Stała eicha, oddzielna w swoich zagrodach wieś
Grand Pré.

Żyzną była dolina — łąki rozslane od wschodu
Sioło mianem darzyły, a niezliczone trzód stada
Bujném w koło pastwiskiem. Pracą zabiegłych rolników
Tamy wzniosłe stanęły, przeciw nawałnym przyrywom.
Lecz gdy pora nadeszła, słuz otwierały się wrota,
I swobodnie igrając morze krążyło po łąkach.
Na południe i zachód pola lnem były zasiane,
Dalej, precz się ciągnęły sady i łąny bez płotów
Aż na północ, gdzie sterczał w lasy spiętrzony Blomidon.
Na gór szczytach mgły morskie rozpinały namioty,
Rzekłbyś że wstał Atlantyk, by na tę błogą dolinę
W okrag spojrzeć z wysoka, i już nie wracał do łoża.
Tam pośrodku swych zagród wieś Akadyjska osiadła,

Domy silnie stawiane belki spajały dębowe,
Jak bywało w Normandyi jeszcze pod berłem Henryków.
W dachach słomą pokrytych drobne świeciły okienka,
Cień ochronny rzucały szersze wystawy nad drzwiami.
Tam wśród lata pod wieczór, kiedy blask słońca zachodni
Wsi ulice oświeci, daszki kominów pozłoci,
Już matrony, dziewice, w czepeach śnieżystej białości,
W krasnej barwy kaftankach, modrych, pasowych, zielo-
nych,

Przędą złote lnu pasma w izbach gwarzącym warsztatom,
Które dziewię piosenkom i kołowrotkom wtórzyły.
W tém poważnie przechodzi kapłan szeroką ulicę;
Dzieci gry swe rzucają, biegną uścisnąć mu ręce
Które do nich wyciąga, błogosławieństwa je darząc.
Wnet powstaną matrony, takżeż dziewice, i słowy
Uprzejmymi witają. — Wtedy z pól właśnie wracają
W dom po pracy rolnicy. — Zaszło i słońce — pogodnie
Na swój spoczynek zstąpiło, mroki już światło przemogły.
Aniol pański uroczu ozwał się z wieży kościółka.
Po nad sioła dachami dymu kolumny błękitne
Jak obłoki kadzideł, wzniosły się lekko do góry
Ze stu ognisk od razu, siedzib pokoju i szczęścia.
Akadyjscy wieśniacy społem tak żyli w miłości,
W zgodzie z Bogiem i ludźmi, wolni zarówno od trwogi,
Towarzyski tyranów, jak od zawiści, co toczy
Jadem wnętrza republik. Domy ich stały otworem,
Drzwi i okna bez ryglów, jak dzień i serca mieszkańców!
Tam był bogacz ubogim — biedny w dostatki opływał.
Zdała wioski, a nieco bliżej ku Minas zatoce,
Benedykta *Bellefontaine*, najmożniejszego wsi *Grand Pré*

Gospodarza, leżała w rolach wybornych posiadłość.
Przy nim córka mieszkała, rządem domowym zajęta,
Piękna Ewangelina, wioski najpierwsza ozdoba!
Rzeski, silny był starzec, lat siedemdziesiąt przeżywszy,
Zdał się dębem we śniegu, białe jako śnieg miał włosy,
Czerstwość liści dębowych na ogorzałém obliczu.
Siedemnastą lat wiosną czoło dziewicy jaśniało!
Oczy miała tak czarne, jako orzyny przy drodze,
Ale promień łagodny świecił z pod cienia jój splotów.
Była piękną, gdy w upał piwo nosiła żniwiarzom
Na ochłodę w południe — piękniejszą, kiedy w niedzielę,
Skoro dźwięki świętymi z wieży dzwon skropił powietrze,
Jak ksiądz skrapia pobożnych sypiąc im błogosławieństwa,
Szła przez długą ulicę z książką, z różańcem na rękę,
Strojna w czepiec normandzki, szatę niebieską — i dwoje
Starodawnych zausznic, z Francyi to jeszcze zabytek!
Odtąd z matek na córki długich pokoleń spuścizna.
Ale blask najeudniejszy wdzięczne rozświecał jój lica,
Opromieniał jój postać, gdy po spowiedzi wracała
Z Bożą łaską na czole — zdało się, skoro gdzie przeszła,
Jakby nagle ucichły tony czarownej muzyki.
Z mocnych belek dębowych dom swój gospodarz postawił
Na pagórku wyniosłym — wyżej największych wód morza.
Tuż przy domie wiaź rosnął — bluszczem w około wieńczony
Ganek cieśla wyźłobił, spodem ławkami opatrzył.
Wybiegała stąd ścieżka na dół w obszerny już ogród
I niknęła na łąkach; blisko cienistego wiazu
Stały ule z pszczołami pod wystającym w krąg dachem,
Jaki czasem podróżni widzą stawiany przy drogach
Nad skrzynkami dla biednych, lub nad Maryi obrazem.

Niżej, na pochyłości stała mchem studnia obrosła,
Z wiadrem w obręcz i łańcuch skutem, i żłobem dla koni.
Od burz i mocnych wiatrów dom od północy chroniły
Gospodarskie budynki, pełne narzędzi rolniczych.
Stały wozy szeroką kolej mające, i dawne
Pługi i brony. — Owiec były zagrody — tam również
Indyk w stroju pierzastym pysznił się, kogut w kur tłumie
Zapiał głosem, co w Piotrze dawniej żal skruczy obudził.
Za wsią były stodoły cierniem w około zjeżone,
Ze słomianemi dachy, w każdej zaś, schody w poddasze
Prowadziły, do składów zboża, woń wdzięczną sięjących.
Tam się chętnie gnieździły w parach miłosnych gołębie
Gruchające z lubości; wyżej tymczasem nad niemi,
I na zmianę powietrza, piał koguty hałaśne.

Tak więc z Bogiem, ze światem w zgodzie, w świętym
włości swobodnie

Żył Benedykt, a w domu Ewangelina rządziła.
Nie jeden już z młodzieży, kiedy klękawszy w kościele
Otworzyła swą książkę, oczy wnet na nią obracał,
Jak do świętej z modlitwą! Jakże szczęśliwym był, który
Miłej ręki, niechcący, lub brzegu sukni się dotknął.
Z zalotników nie jeden, mrokiem wieczornym nawiedzał
Luby domek dziewczycy! — Kiedy zaś we drzwi zastukał,
Trwożnym uchem słuchając rychło jej kroki posłyszysz,
Trudno było już wiedzieć, które głośniejsze z uderzeń?
Biloż mocniej mu serce? czy też w drzwi młotek żelazny?
Ale między wszystkimi jeden gość był pożądany,
Młody Gabryel, i syn Bazylego. — Ojciec wziętość,
Poważanie miał włościan. — Z dawna, w początkach już
wieków,

Bo rzemiosło kowalskie we wszystkich krajach i czasach
Lud zwykł wielce szanować. W ściślejszej oddawna przyjaźni
Żył Benedykt z Bazylim. Od lat najpierwszych dzieciństwa
Spółem dzieci ich rosły, jako brat z siostrą — w miłości.
Ksiądz Felicjan, pleban i nauczyciel zarazem,
Z jednej zawsze książeczki uczył ich czytać i nucić
Święte psalmy kościelne. Skoro przestały już śpiewać,
Dzienną lekcją skończywszy, dzieci biegały do kuźni,
I stanawszy na progu, na Bazylego patrzyły
Z zdziwionemi oczyma, jako brał ciężką podkowę
W wielki fartuch skórzany, i niby cackiem się bawiąc,
Mierzył z końskiem kopytem. Wewnątrz komina tymczasem,
Obręcz jak wąż ognisty drgała iskrami w popiele.
Często w wieczór jesienny, kiedy z tej kuźni w ciemnościach
Zdał się płomień wybuchać przez wszystkie okna i szpary,
Dzieci biegły się ogrzać i pracy miechów przysłuchać;
A gdy miech dąć już przestał, iskry znikwały w popiele,
Mali goście wołali: „Mniszki już weszły w kaplicę.”
Często w zimie na sankach, rzekłbyś skrzydłami orlemi
Zlatywali z gór na dół, pędem sunęli po łąkach;
Aż pod belki w stodolach nieraz się wdarli oboje,
Czy przypadkiem nie znajdą owych cudownych kamieni,
Które, jak wieść niesie, z morza jaskółka przynoszące,
W drobne gniazdko swe składa, by wzrok pisklętom otwo-
rzyć.

Szczęśny, szczęśny na zawsze, kto znajdzie kamień tak
rzadki!

Szybko lata im zbiegły, dawno być dziećmi przestali;
On był dzielnym młodzieńcem z krasnym obliczem poranka,
Myśl jego w czyn dojrzewała na jego czole wyniosłym, —

Ona piękną niewiaścą — z sercem, nadzieją kobiety;
Słońcem Świętą Eulali zwali ją wszyscy dla tego,
Że tём słońcem, wieść niesie, owoc dojrzewa w ogrodach.
Ona również każdemu mogła w dom przynieść obfitość,
Darząc męża miłością i rojem dzieci rumianych.

II.

Przyszła pora jesienna, noce zimniejsze i dłuższe,
Słońce w wstecznym odwrocie pod znak Skorpiona
wchodziło.

Stada ptaków wędrownych szlaki płynęły górnemi
Od północy już mroźnej w kraje ciepłego zwrotnika.
Żniwa już się skończyły — wiatry jesienne z drzewami
Pasowały się w borach — jak niegdyś Jakób z Aniołem.
Zimę długą i przykrą znaki niemyłne wróżyły,
Pszczoły wieszczym instynktem w miód przepelniały swe
ule,

Zimę długą i przykrą łowcy wróżyli indyjscy,
Bo na lisach oddawna sierści tak gęstej nie było.
Tak się jesień poczęła. Pora szła po nią uroczą,
Lud pobożny w Akadyi Wszystkich ją Świętych zwie latem;
Pełne było powietrze światła drżącego czarownie,
Kraj odmłodził na nowo jak w pierwszej wiosnie stwo-
rzenia,

Ziemię cichość objęła — zamilkł w swych głębiach ocean,

Później, księżyc zaświecił, wozy z łąk morskich wróciły
 Świeżem sianem ładowne, wonie w powietrzu roznosząc,
 Konie rżały wesoło — uprzęż i grzywy zwilżone
 Mając rosą, a wierchem grzbietów, siodełka drewniane,
 Malowane błękitno — zdobne w karmazynu taśmy
 Chwiały pręgi świetnemi, nakształt kwiecistych burzanów,
 Krowy stały cierpliwie — ręką dojarek z ich wymion
 Mleko, w konwie ściągane, z dźwiękiem miarowym i głośnym
 Pianą wartkich strumieni, brzegiem naczynia spływało.
 Ryk bydła i śmiech głośny tylko wciąż słychać w podwórzu,
 Powtarzany przez echa — nagle zapadł w milczenie.
 Drzwi z ciężkością zawarte — w mocnych zawiasach za-
 chrzęsły,
 I zapory zsunięto — i wszystko było już ciszą.

W domu zasiadł Benedykt w krześle wygodnem z po-
 ręczą

Przed szeroko płonącym skwarném komina ogniskiem,
 Patrząc i śledząc płomień w wstęgach bój z dymem wiodący,
 Jakby w mieście płonącym nieprzyjaciele walczyli.
 Za nim chwał się i drwił cień jego po ścianach mieszkania
 W fantastycznych postaciach, nagle niknących w ciemności,
 Twarze, rznięte niezgrabnie, z tyłu krawędzi téj krzesła
 Śmiały się w migocącym świetle — a płomień jak słońce
 O rycerskie puklerze, o mis cynowych powierzchnie
 Blask swój odbijał na półce. — Starzec zanurzał urywki
 Dawnych pieśni, kolendy w cześć Narodzenia Bożego
 Takie, jak w dawnych czasach w domu śpiewali przodkowie
 W swych normandskich zagrodach — w świetnych burgund-
 skich winnicach.
 Przy nim Ewangelina przedła złociste lnu pasma

Dla tkaekich krosien, które stały tuż za nią przy ścianie,
I ich teraz pedały ciche — czołenka spokojne,
A monotony turkot ręcznych kołowrotka zwrotów,
Jak szmer kobzy za śpiewem starca szedł razem, i łączył
Dawną pieśni urywki — a jak w kościele na chórze,
Gdy śpiew czasem ustanie, słychać nadejścia spóźnionych,
Albo słowa kapłana, brzmiące od stopni ołtarza,
Tak w każdej pauzie śpiewu, zegar swém tętnem uderzał.

Gdy tak społem siedzieli, nagle zadźwiękło stąpanie,
Jękla klamka drewniana — a drzwi w zawiasach skrzypnęły,
Bazylego Benedykt poznał po ciężkich trzewikach,
Z bicia Ewangelina serca, kto był z nim odgadła.

„Witajcie, rzekł gospodarz, kiedy się w progu wstrzymali,

„Witaj drogi Bazyli! mój przyjacielu chodź, usiądź

„Tu z téj strony komina, miejsce to puste bez ciebie,

„Weź twą fajkę z téj półki, weź i puszkę z tytoniem.

„Nigdy więcej nie jesteś sobą samym, jak gdy kłęby

„Dymu z fajki wyciągasz, albo gdy w kuźni twarz twoją

„Okrążają wesołą, ona tam wtedy przyświeca,

„Jakby księżyc sierpniowy, w mglistych obłokach łąk mor-
skich.”

A Bazyli z uśmiechem zadowolenia mu odrzekł,

Przysuwając z ufnością krzesło swe bliżej ogniska.

„Benedykcie! gotowe zawsze masz żart i balladę,

„Jesteś zawsze wesoły, kiedy już innych ogarnia

„Smutek złego przeczucia, widząc tuż ciosy przed sobą,

„Jesteś szczęśliwym, jakbyś codzień znajdował podkowę!”

I zatrzymał się chwilę, biorąc z rąk Ewangeliny

Fajkę, którą przyniosła — węgiel wyjąwszy z ogniska,

I kiedy już rozpałił, z wolna rzecz ciągnął swą dalej:

„Już od dni czterech stoją w porcie angielskie okręta
„Na kotwicach, w zatoce Gaspra, mające armaty
„Swe zwrócone na wioskę — łatwo zamiary odgadnąć!...
„Nawet przyszedł już rozkaz, zebrać lud wszystek w ko-
ściele
„Z jutrzejszego dnia rankiem — rozkaz z mandatem jest
króla,
„Polecenie stanowcze — prawem najwyższem już kraju.
„I w téj chwili niestety! mnóstwo straszliwych jest wieści
„Między ludem krążących — przestrah ogólny w ich ser-
cach.“

Na to odrzekł Benedykt: „może w przyjaznych zamiarach
„Te okręta do brzegów naszych przybyły, — w Anglii
„Urodzaje (być może), deszczem, upałem nie w porę
„Były zniszczone; zbożem naszym chcieliby wyżywić
„Swe bydło i swe dzieci.“ — „Wioski téj lud nie tak sądzi.“
Odparł kowal z zapalem, chwając głową jakby wąpił.
I z głębokiem westchnieniem: „mamy już przykład“ po-
wiedział,

„Dziejów smutnych *Louisbourg*a trudno zapomnieć, jak ró-
wnie

„*Beau sejour* i *Port-Royal*! — naszych już wielu uciekło
„W lasów ciemnych gęstwiny, w srogiéj czekając obawie,
„Jakie ranek jutrzejszy losy ich sereom zgotuje!
„Bronie nasze zabrano — wszystkie téż ostre narzędzia
„Nie pozostały — tylko młot mój kowalski i kosy!“

Wtedy z miłym uśmiechem mówił półżartem gospodarz:
„Nam bezpiecniéj bezbronnym wpośród trzód naszych i za-
gród

„Za cichemi wałami, które ocean oblega,

„Niżli było w warowniach obleżonym ojeom naszym
„Nieprzyjaciół działami! — nie smuć się mój przyjacielu!
„Dzisiaj w wieczór niech i cień troski na ten dom nie pada,
„Równie na to ognisko, wieczór to zmowin przedślubnych.
„Już gotowe mieszkanie! — młodzież ochocza tój wioski
„Dobrze, mocno stawiała, wałem opasała wkoło,
„Napelniła stodołę sianem, a jadłem dom na rok!
„*René Leblanc* za chwilę papier, atrament przyniesie,
„Nie ucieszym się tedy dziecięze naszych radością?...“
Kochankowie przy oknie mieli ręce złęczone,
Słyszając *Ewangelinę* słowa, splenęła uroczu.
Gdy je ojciec wymawiał, wszedł notaryusz do izby.

III.

Starzec zgięty, jak wiosło morza styrane walkami,
Zgięty, lecz niezłamany wiekiem, był zacny urzędnik!
Jasnych włosów pierścienie, w pasmach lnu przedzy spły-
wały,

Kryjąc barki szerokie z czołem wzniosłym, okulary
W ciemnej rogu oprawie, na nos spadały głęboko.
Z wzrokiem bystrym i pewnym — wyższej mądrości zwi-
stunem,

Ojciec dzieci dwudziestu — innych sta więcej sadowił
Na swych kolanach, głośnym tętnem zegarka zabawiał.
Cztery lata niewoli w czasach wycierpiał wojennych
W dawniej Franków warowni — jako przyjaciel Anglików,
Teraz chociaż przezorny — wolny był złości, podejrzeń.
Wprawdzie w mądrość on dojrzał — ale miał dziecka pro-
stotę.

Był kochanym od wszystkich, jednak szczególnież od dzieci,
Prawiąc różne im dziwy dawnych leśnych wilkołaków,
O tych duchach złośliwych, co konie zlewają wodą.

I o białych przejrzystych duchach nieochrzczonych dzieci
Pomarłych, mieszkających w tychże pokojach w ukryciu.
Jak w Boże Narodzenie woły rozmawiają w stajniach,
I jak febrę wyleczy pajak w łupinie orzecha,
I o cudownej mocy cztero-liściastych koniczyn,
I o podkowach końskich! — i wiele innych dziwowisk,
Które w wioski podaniach przez długie czasy przetrwały.
Wtedy kowal Bazyli z krzesła się swego podniósłszy,
Wytrząsł popiół z swój fajki, z wolna prawicę wyciągnął,
„Ojciec *Leblanc*! (zawołał) — wieści krążące słyszałeś?
„Może wiesz co pewnego? — cel tu okrętów przybyłych?”
A urzędnik publiczny taką dał skromnie odpowiedź:
„Za prawdę, już nie jedno wieści słyszałem, z nich jednak
„Mędrzym nie jestem — co się tyczy przybycia okrętów,
„Nie wiem więcej jak drudzy, ale z tych jednak nie jestem,
„Którzy wyobrazili sobie złe dla nas zamiary,
„Z ich przybyciem w te strony. — Zgodnych czyż mogą na-
padać?”
— „Na imię Boga (wołał trochę rozniewany kowal),
„Czyż powinniśmy zważać na jak? czemu? i dla czego?
„Codzienn gwałty są częstsze, przemoc silniejszych jest pra-
wem.”
Nie zważając na wybuch, notaryusz mówił dalej:
„Człęk jest niesprawiedliwym, ale jest Bóg sprawiedliwy!
„I sprawiedliwość zawsze tryumf odnosi; pamiętam
„Jedno takie zdarzenie — moja jedyna pociecha!
„Gdy w *Port-Royal*, warowni dawnych Franków był
więziony.”
Ulubiona to była powieść staruszka i lubił
Ją powtarzać sąsiadom, żalącym się na niesłuszność.

„W mieście starém, którego nazwy już teraz nie pomnę,
„Stał przed laty na rynku, z brązu na wzniosłej kolumnie
„Posąg sprawiedliwości, wagę trzymając w lewicy,
„W prawej ręce miecz ostry, jako świadectwo, że prawo
„Strzegło kraju, ustawy, serca i domy mieszkańców.
„Nawet ptaki na szalach stały dla pisklat swych gniazda,
„Miecz w nich trwogi nie budził, w słońcu błyszczący nad
„niemi!

„Z wolnym czasu pochodem prawa swą świętość straciły.
„Słuszność siłę uległa, różga przemocy żelazna
„Słabych szyję ugięła. — Wtedy to raz się zdarzyło,
„Że w pałacu magnata z pereł kosztowny naszyjnik
„Zginął, a podejrzenie padło na młodą sierotę,
„Którą w dom ten zamożny w służbę niedawno przyjęto.
„Po czczych formach procesu na śmierć skazano, — cier-
„pliwie

„U stóp sprawiedliwości karę niesłuszną poniosła.
„Kiedy duch jej niewinny wzlatał do Ojca w niebiesiech,
„Burza pękła nad miastem, w posąg brązowy uderzył
„Piorun strzałą ognistą, i ugodziwszy w lewicę,
„W gniewie wagę z szalami na bruk z łoskotem wyrzucił.
„Gniazdo sroki odkryto w szali głębokiém ukryciu,
„W ściany gniazda lepiące, z pereł naszyjnik był wsnuty.“
Zamilkł Bazyli, jednak powieść przekonań nie zniósł.
Stał w milczeniu jakby chciał mówić, ale mu słów brakło,
Zimno po twarzy przeszło — myśli w zarysach zdrętwiały
Fantastyczną grą cieni widnych na oknach wśród zimy.

Lampę Ewangelina na stół przyniosła wieczorną,
W dzban cynowy nalala piwa ciemnego, a które
W domu robione, sławę z mocy swęj miało wśród siola.

Notaryusz z zanadru wyjął papiery, kałamarz,
Wprawna ręką położył datę, miejsce, wiek stron obu,
Posag panny wymienił — w trzodach i owiec i bydła,
Wszystko zrobił porządnie, prawnie i zgodnie z przepisem.
Wielka prawna téż pieczęć słońcem na boku zaślniła.
Wtedy z kieski skórzanej na stół gospodarz wyłożył
Zwykłą placę, w trójnasób wielkich sztuk srebrnej monety.
Potém powstał notaryusz, błogosławiąc zaręczonych,
Z dzbana duszkiem wychylił zdrowie szczęśliwej przyszłości,
A otarłszy z ust pianę, zegnał ukłonem przytomnych.
Wszystcy siedząc w milczeniu przeciw ognisku, dumali.
Wniosła Ewangelina do gry rodzicom warcaby,
W przyjaznej zażyłości starzy wnet siedli do grania,
Głosząc każdy cug lepazy, albo szczęśliwsze manewra,
Ciesząc się wejściem do damy, króla natarciem szeregów;
A tym czasem na stronie, w okna framugi półcieniu
Dwoje siedząc kochanków, cicho do siebie mówili,
Patrząc w księżyc wznoszący się nad blade morze i nad
srebrne
Mgły łuk. — Jedna po drugiej cicho na niebios przezrocze
Występowały gwiazdy, jak niezabudki aniołów.

I tak wieczór spędzili. — Z wieży wybiła dziewiąta!
We wsi o téj godzinie nakaz praw ogień przygasa.
Wyszli goście powstawszy, w izbie zaległa samotność;
Długich słów pożegnanie było kochanków u progu,
W sercu Ewangeliny odtąd już brzmiących miłością.
Wtedy pilnie przykryła ogień tlejący popiołem,
Wschody jękły dębowe stopy ciężkimi jej ojca,
A za nim już cichutko przemknęła Ewangelina,
Oświecając w ciemności wschody nie światłem tak lampy,

Więcej jasną pogodą twarzy, dziewiczą radością,
I cichutko wstąpiła w progi izdebki skromniuchnej.
Czysto, schludno w niej zawsze, z białą pościelą, firanką,
Szafy wzniosłe, obszerne, były bielizną ładowne,
Strojem lnianym, wełnianym, ręką utkane jej własną.
Ten skarb drogi, myślała, wniesie w posagu mężowi;
Lepszy niż trzody — dowód starannej rządności.
Wkrótce lampę zgasila, jasność księżyca światłością
Srebrzystą promieniła okna, świetliła w jej izbie.
Miłe, wdzięczne to światło serce ośniło dziewicy,
Pełnią uczuć wezbrane, niby ocean w przypływie!
Jakże była w nim piękna! piękna uroczą w stąpieniu,
Snieżno-białą swą stopką tknąwszy podłogi izdebki.
Wtenczas wiedzieć nie mogła, że z drzew ogrodu jej luby
Śledził światło i pragnął w cieniu zobaczyć kochaną!
Jednak o nim jej myśli!... Czasem i smutku uczucie
Przejmowało jej duszę, kiedy swym cieniem padł obłok
Tam na poprzek księżyca — pokój na chwilę zamraczał.
Lecz gdy oknem wyjrzała, księżyc odsłonił twarz jasną,
Przedarł ciemność obłoku — w ślad za nim jedna szła
gwiazda!
Tak z namiotu wychodził młody Izmael z Agarą.

IV.

Cudnie nad *Grand Pré* słońce jaśnieje poranne
W cichém, łagodném powietrzu błyszcza się wody Mi-
naskie,

Na nich okręta igrają z masztów swych cieżnami drzącemi.
Życie dawno wśród wioski ruchem zawrzało i głośnie
Praca stami rąk silnych do wrót pukała zarania.
W okolicy w krąg teraz z wiosek sąsiednich i osad
Biegna w strojach świątecznych błodzy Akadyi wieśniacy,
I radośnie dzień dobry, śmiechy młodzieży wesolój
Dnia jasnego pogodę, jakby jaśniejszą czyniły, —
Gdy tymczasem z łąk licznych, żadną nieznaczonych ścieżką,
Tylko kędy po kołach kolój wśród trawy została,
Biegnie grupa po grupie, na drogę ubitą schodzi.
Przed południem na długo, praca już w wiosce ustała,
Zamilkł odgłos, a ludem zewsząd pełniały ulice.
I przy słońcu pogodném we drzwiach swych domów za-
siadły
Liczne głośnie gromady, sercem radośnie gwarzące.

Każdy dom tam gościńcem — gości witano serdecznie,
Bowiem z dawna trwał ciągle zwyczaj chowany u ludu,
Że być braćmi sędzili wszystkich wspólnością miłości,
A co jeden posiadał, było zarazem i drugich;
Ale pod Benedykta strzechą gościnność, uprzejmość
Była większą, bo stała między drużyną ojcowską
Piękna Ewangelina, twarzą jaśniejąc w uśmiechu,
Słowa, serca przyjęciem dźwięki miłemi płynęły
Z ust jej, racząc przybyłych czarą podaną uprzejmie.

Pod sklepiстым namiotem niebios, w wonności ogro-
dzie,
Gdzie się drzewa chyliły złotych owoców ciężkością,
Przyrządzono świetniejszą ucztę na dobę zaręczyn.
W cieniu długiej wystawy siedli ksiądz i notaryusz,
Zasiadł także Benedykt, przy nim przyjaciel Bazyli,
Nie daleko za nim, tam gdzie rząd ulów się ciągnął,
Michał, skrzypek, wygrywał parom gotowym do tańca.
A przez liście wpadając światło i cienie, igrały
Z włosem śnieżnej białości, kiedy wiatr niemi powionął,
Albo z pięknem obliczem lśniącem, jako ognia zar świeży,
Kiedy popiół odgarnął. — Starzec przegrywał wesoło
Struny skrzypiec dźwięcznemi; społem Akadyi mieszkańce
Takt muzyce stukaniem twardych trzewików znaczyli.
Kola ciągle wesoło w skocznych krążyły obrotach.
Niżej, pod drzew osłoną, ścieżka zbiegała na łąkę,
Tam już starzy i młodzi, dzieci zmieszani w gromadkę,
Między niemi nad wszystkich Ewangelina jaśniała,
Benedykta to córa! — i syn kowala Gabryel,
Szlachetnością swęj twarzy, w gronie młodzieży był pier-
wszym!

Tak im zeszedł poranek — słyszą, z odgłosem nakazu
Zabrział głucho dzwon z wieży, po łakach rozległ się
w koło,

I wnet kościół był pełen mężów zebranych gromadnie.
Na cmentarzu kościoła stały przy grobach kobiety,
I na czoła grobowców wieńce jesienne wieszały,
W mech i liście ozdobne — świeżo w gęstwinie zebrane.
Nadszedł strażnik okrętów, z dumą wśród wszystkich prze-
chodził,

I wraz święte podwoje z trzaskiem hałaśnym otworzył;
One zachręśły w zawiasach — odgłos się rozległ daleko
W straży jego przybocznej, ślepo rozkazom posłusznej;
Zwolna ciężkie podwoje znowu zawarte zostały,
A tłum ludu w milezeniu zbrojnym szeregom podziwiał.
Wtenczas mówił dowódzca, stojąc przy stopniach ołtarza,
Rozwinięte trzymając w rękach królewskie zlecenie
Pieczęciami okryte. — „Dziś tu jesteście zebrani
„Wola króla najwyższą — dla was on dobry, łaskawy,
„Jak nim zawsze był dotąd; wy zaś jakimi byliście?
„Dobroć jego uznając, wasze powiedzą niech serca!
„Mojój własnej naturze, również skłonnościom, uczuciom,
„Przykrą jest ta powinność, dla was przynosić boleści!
„Jednak muszę jój uleść, być posłusznym i wolą
„Spełnić mego monarchy. — Naprzód obwieszczam wam
wszystkim,
„Że grunt cały wasz, domy, bydło wszelakie i trzody
„Na skarb będą zabrane; sami z tutejszym dobytkiem
„Przeniesieni gdzieindziej. — Tam zaś przy Boskiej po-
mocy,
„Gospodarzyć będziecie jako lud wierny, spokojny.

„Wszystkich niewolnikami czynię ukazem monarszej
„Woli, tudzież życzeniem Jego Królewskiej Miłości.”
Jako w jasnej pogodzie, w czasie gorących upałów,
Burza nagle powstanie, gradu pociski uderzą,
Zwałą zboża na polu, — szyby precz w oknach potłuką,
Ziemie słomą zasieją, z dachów pokrycia zerwaną;
Jasność dnia się zamroczy, — słońce chmur całun po-
wlecze;

Z rykiem trzoda ucieka, łamie zapory i płoty;
Takim gradem na serca, spadły dowódczy wyrazy!
W podziwieniu mileżącym, chwilę na miejscu zostali;
Wreszcie coraz się głośnieję zewsząd podniosły szemrania,
Złorzeczenia i gniewy, — pędem rzucili się do drzewi,
Zapamiętali i wściekli! — tamę do wyjścia spotkawszy
Znowu głosy przekleństwa miotać poczęli okropne,
W środku domu modlitwy. Głowę nad wszystkich wyrosły
Powstał z wytężonemi kowal Bazyli ramiony,
Jak na morzu wzburzonym — deska falami miotana, —
Z twarzą zbladłą od gniewu, dziko w rozpaczcy zawołał:
„Precz Anglicy tyrani! — nigdy ohydy poddaństwa
„Myśmy im nie przysięgli — śmierć więc przeklętym wy-
dziercom!”

Byłby jeszcze złorzeczył, ale gwałtownie ugodzon
W usta ręką żołnierza, upadł na ziemię krwią złany.
W pośród zgiełku i krzyku, drzwi się poboczne roz-
warły,

Patrz! wszedł ojciec Felicjan, wstąpił na stopnie ołtarza,
Prawą rękę podniosłszy, jednem skinieniem przywrócił
Ciszę w tłumie wzburzonym, — potem tak mówił do ludu,
Mówił głosem głębokim, pełnym i równym choć smutnym,

Jako bicie zegaru, gdy na gwałt dzwonić przestaną.

„Co me dzieci czynicie, jakaż was wściekłość porywa?

„Wśród was, życia mego lat jam czterdzieści pracował,

„Uczył w słowie i w czynie, byście się wzajem kochali;

„Takiż owoc mych trudów, modlitw, czuwania i postów?

„Nie pomnicież jak zawsze trzeba miłować, przebaczać?

„Dom to Króla pokoju, śmiecież mu czynić zniewagę

„Gwałtownemi czynami, zemsty pełnemi sercami?

„Oto Chrystus umęczon z krzyża tu na was spoziera:

„Patrzcie! w rzewnych tych oczach, jaka pokora i litość,

„Z ust tych słyhać modliwę „przebacz im Ojcze w nie-
biesiech.“

„Więc i my ją powtórzmy — kiedy żli nas napadają,

„Módlmy się za nich, mówiąc: przebacz im Ojcze w nie-
biesiech.“

Po tych słowach kapłana, łzami w słuchaczach gniew
spłynął,

Rzekli z sercem skruszoném „przebacz im Ojcze w nie-
biesiech.“

Nadszedł nieszpór wieczorny — świece gorzały w oł-
tarzu,

Rzewnym słowem kapłana, lud nie ustami lecz sercem

Cichą dawał odpowiedź, potem upadłszy na klęczki,

Śpiewał „Zdrowaś Marya!“ Na skrzydłach modlitwy,

Jako Eliasza w płomieniach, w niebios podwoje wzlatowały!

W wiosce zewsząd tymczasem wieści posępne krążyły,

Biegły z domów do domów złękłe kobiety i dzieci.

Długo Ewangelina stała w drzwiach swoich na progu,

Zakrywając swe oczy ręką od słońca promieni,

Które zwolna zachodząc światłem objęło wieś całą,

Dachy złotém poszyciem, okna iskrami pokryło.
Wewnątrz — dawno już śnieżny obrus rozeslan na stole,
Na nim chleby pszeniczne, wonny miód zioly dzikiemi,
W środku ciężki dzban piwa i świeże sery z mleczarni.
Krzesło ojea z poręczą stało na czele u stołu.
Przyrządziwszy tak wszystko, — gości swych Ewangelina,
Przy drzwiach domu czekała. Słońce zachodząc rzuciło,
Coraz dłuższe drzew cienie na wonne dolin obszary,
Coraz grubszy też pomrok padał na duszę dziewczycy,
A z pół duszy ku niebu coraz woń czystsza wionęła, —
Miłość, dobroć, nadzieja, i wszystkiem władna cierpliwość.
A więc siebie niepomna, wyszła dziewczica na wioskę
Cieszyć słowem, wejrzeniem, ciężko strapione niewiasty,
Które mrokiem przez pola do swoich mieszkań wracały,
Gnane troską domową, i stopą dziątek strudzoną.
Słońce zaszło czerwone, w świetnym złocistym obłoku
Kryjąc światło swój twarzy — jak prorok z Synaj scho-
dzący.

Nad wsią cichy kościółek na *Anioł Pański* zadzwonił.

Wśród ciemności tymczasem przyszyła pod kościół dzie-
wica,

Słucha! Wewnątrz milezenie, cisza w około grobowa;
Staje u drzwi i okien, słucha, znów patrzy daremnie,
Aż po chwili nareszcie zdjęta gwałtowném wzruszeniem:
„Gabryelu!“ zawoła. Cicho! Nic — nic jój nie rzekły
Ani groby umarłych, ani ciemniejszy grób żywych.
Smutna, z wolna wróciła w pusty, sierocy dom ojca.
Już przetlało ognisko — stała nietknięta wieczerza,
Pusto w każdej izdebce, tylko widziadła się snują.
Glucho pod jój stopami jękla podłoga i wschody.

W ciemnej nocy słyszała jako po liściach uwiedłych
Deszcz przy oknie szeleścił. Strasznie się wkoło lyskało,
A grom w echem tysiącznych mówił jej duszy zbolalej,
Że Bóg w niebie króluje, i włada wszystkiem co stworzył.
Wtedy pomnąc na powieść, jak sprawiedliwe są nieba,
Ukoila nią duszę i słodko spała do ranka.

V.

Słońce zaszło czterokroć — a z dnia piątego porankiem
Zapiał kogut wesoło, ze snu dziewice obudził.

Wnet po polach pożółkłych, w cichym i smutnym pochodzie
Z wsi i zagród sąsiednich szły akadyjskie niewiasty,
Na brzeg morza swe sprzęty w wozach ładownych odwożąc;
Szły, lecz nieraz stawwały, by jeszcze spojrzeć za siebie
Nim las albo skręt drogi skryje im domy na zawsze.
Tuż przy boku dzieciny bydło pędziły za niemi,
W małych rączkach unosząc drobne odłamki zabawek.

Tak do Gaspra zatoki nad brzegi morskie spieszyli.
Tam w nieładzie złożono cały dobytek wieśniaczy,
Przez dzień cały od brzegu łodzie okrętom go nosły,
Przez dzień cały od wioski wozy ciągnęły ładowne;
Późno wieczór dopiero, kiedy już słońce zająć miało,
Odgłos bębnow z cmentarza zagrzmiał po polach daleko.
Wnet kobiety i dzieci do drzwiów kościoła pobiegły,
I zaledwie stanęły — nagle otwarto podwoje.
Naprzód weszła straż zbrojna, za nią orszakiem ponurym

Szli wraz długo więzieni, ale cierpliwi mężowie,
Szli jak idą pielgrzymy, którzy w dalekiej podróży,
Pochód śpiewem weselą, zapominając o trudzie.
Tak ze śpiewem na ustach na brzeg z kościoła dążą
Akadyjscy wieśniacy, w pośród żon swoich i dzieci.
Przodem młodzież kroczyła, i wznosząc razem swe głosy,
Katolickich pieśń missyi drżącym tonem śpiewała:
„O! Zbawiciela serce, źródło łask świętych obficie!
„O! wlej w serca dziś nasze ducha pokory i siły!“
Wtedy starzy po drodze, boki idące niewiasty
Śpiew z ich śpiewem złączyły; w słońcu lecące nad niemi
Ptaki nócie wtórzyły, jak znikających głos duchów.

Na wpół drogi do brzegu, w milczeniu Ewangelina
Już czekała, — w niedoli boleść umiała zwyciężyć.
Smutna, cicha czekała, póki w ciągnącym orszaku
Gabryela nie ujrzy twarzy, błądząca zmienionej,
Lzy z jej oczów spłynęły, rażno pobiegła ku niemu,
Uścisnęła mu ręce, głowę oparła na ramie.
„Gabryelu, (szepnęła) w myślach się nie trwóż mój luby,
Przetrwać wszystko zdołamy, losy zwyciężym miłością!“
Uśmiech słowa ozłocił, ale wnet nagle zamilkła,
Ojca bowiem ujrzała, który szedł zwolna w szeregu.
Jakżeż on był zmienionym! zniknął mu z twarzy rumieniec,
Ogień z oka ustąpił, serce boleścią gnębione
Ciężki starca chód ciężej zdało się jeszcze przygniatać.
Uśmiech razem z westchnieniem błysnął na córki obliczu,
Rzuca się mu na szyję, ściska i ręce i nogi,
Chcąc słowami miłości, słowa pociechy zastąpić.
Tak do Gaspra zatoki doszedł ten orszak żałobny.

Na wybrzeżu panował nieład i zgłębienie przewozu.

Osadników na łodzie zewsząd z pośpiechem zbierano,
Żony mężom, a dzieci matkom osobno wydarto.
Zostawieni na lądzie ręce wznosili napróżno!
Na odrębnych okrętach z synem Bazyli płynęli.
Z ojcem Ewangelina jeszcze na brzegu została.
Ledwie z słońca zachodem jeńców połowę zabrano.
Nocy mroki zapadłe więcęć posępne się zdały.
Odstępował ocean prędko od brzegów w odpływie
Zostawiając na piasku słone i zwiędłe rośliny.
Dalej, wyżej na lądzie, po środku sprzętów i wozów, —
(Rzekłbyś w szatach cyganie, albo plac bitwy, lub obóz)
Bez sposobu ucieczki! Morze i wojsko w około!
Akadyjscy wieśniacy na noc leżeli pokotem.
Uszły w otchłań najniższą morza bałwany ryczące,
Zostawiając na brzegu w piasek zaryte czołenka.
Na wsi, z mroku nadejściem, z mlekiem pełnemi wymiony
Bydło z pastwisk wróciwszy, smutno u obór ryczało;
Długo u wrót znajomych stojąc, czekało napróżno
Głosu i rąk dojarek, których już we wsi nie było!
Wszędzie głuche milczenie — nikt na modlitwę nie dzwonił,
Dym z kominów się nie wzbijał, w oknach już światło nie błysło!

Na wybrzeżu tymczasem ognie palono w obozie
Rozłożone z drzew suchych, burzą na piasek zniesionych
Smutne strasznych postaci w koło nich snuły się cienie.
Głosy mężczyzn i kobiet żale słyszano ustawnie,
Krzyk i jęki dzieciątek. — Ale wsi kapłan szanowny
Zwiedzający kolejno smutne ogniska, swój trzody
Rozpierzchnione owieczki słowem swém koł i cieszył,
Jak po rozbiciu Paweł na brzegach dzikich Melity.
Z ojcem Ewangelina siedli przy jednym ognisku;

Do nich kapłan przyszedłszy ujrzał w migotném płomieniu
Zacne starca oblicze teraz, ach! jakże zmienione!

Już bez myśli i życia, jak gdyby tarcza zegaru,

Kiedy z niego wskazówki nagle odjęte zostaną.

Próżno Ewangelina czułą pieczęcią i słowem

Rozweselić go chciała, darmo dawała posiłek,

On nie patrzył, nie mówił, jakby nie wiedział że żyje,

Ale wciąż wzrok wlepiony trzymał w płomienie drgające.

Wtedy kapłan znajomym głosem powitał go, mówiąc:

„Pochwalony niech będzie.“ Więcej już nie mógł on wyrzec.

Ugodzone boleści ciosem zadrzało mu serce,

I głos zawisł na ustach — jak stopka dziecka na progu.

Tym widokiem rażony — czując i dzieląc ten smutek,

Złożył lekko w milczeniu rękę na głowie dziewicy,

I wznosił oczy łez pełne w niebo zasiane gwiazdami,

Które po swoich drogach nie spotykają trosk ziemskich,

A usiadłszy tuż obok, razem w milczeniu plakali.

W tém z południa od wioski światło niezmierne powstało,

Jakby księżyc jesienny zlany czerwoną posoką,

Wzniosłe słupy płomieni aż na szczyt nieba się wzbily,

W oka mgnieniu już łuny przestrzeń szeroko zajęły,

Wioska, morze, okręta, obóz płonące się zdaly.

Dym się wzbijał do góry słomę unosząc wysoko.

A gdy wiatrem silniejszym słoma jak wirem porwana,

Iskry w koło rozniosła; z dachów stu na raz gwałtownie

Straszny pożar wybuchnął, lejąc płomieni strumienie.

Z brzegu morza, z okrętów wszyscy przytomni patrzali

Na ten widok okropny, naprzód w milczącym zdumieniu,

Wnet im z piersi się wyrwał, rozległ głos dzikiej rozpacz:

„Nigdy, już nigdy naszych domów wsi *Grand Pré* nie ujrzym.“

Nagle wszędzie koguty w wiejskich podwórzach zapiały,
Blaskiem światła rażone, myśląc, że to świt poranku.
Bydło ryczeć poczęło, ryk ten z psów wyciem zmieszany,
Precz po górach i lasach niesły wieczorne powiewy.
Wtedy straszny dźwięk zabrzmiał, jaki z snu budzi obozy,
Rozłożone po łąkach, albo po borach Nebraski,
Gdy jak wichur latają dzikie rumaki w szaleństwie,
A bawołów ryczące trzody w ewal pędzą do rzeki,
Taki powstał tu przestrah, kiedy wraz bydło i konie
Z traskiem łamiąc opłotki pierzchno daleko po łąkach.

Przerażeni widokiem, długo w zdumieniu eny kapłan
I dziewica patrzali na okropności tych scenę.
Gdy się wreszcie zwrócili, aby do starca przemówić,
Przebóg! powalonego głową na ziemi ujrzeli —
Leżał zimny bez życia — duszy już w ciele nie było!
Kapłan podniósł mu głowę, córka klęczała nad ciałem,
Rzewnie głośno płakała — srogić nie kryjąc rozpaczę,
Wreszcie padła w omdleniu, padła na piersi rodzica.
Przez noc całą leżała, we śnie niepomnym na boleść,
Kiedy znów się ocknęła, tłumy ujrziała przy sobie,
Twarze dawnych przyjaciół — pełne litości i smutku.
Niebo nad ich głowami jeszcze wciąż luną świeciło,
Krwawiąc cały krajobraz, krwawiąc oblicza przytomnych.
Dzień to sądu strasznego błędnym jej myślom się zdawał!
Kapłan przerwał milezenie, głosem znajomym każdemu:
„Pochowajmy go (rzecze) tu, przy tym brzegu wód morskich,
„A Bóg jeśli dozwoli lepszej nam doli doczekać,
„I napowrót do domu przywieść z krainy wygnania,
„Wtedy drogie nam zawsze zwłoki na cmentarz przenie-
siem.”



Po tych słowach kapłana spiesźnie grób starca kopano,
Ogień wioski płonącej stał się pochodnią pogrzebu!
W eichych modłach bez dzwonu odbył się obrzęd ten smutny.
A gdy kapłan domawiał żalu ostatnie modlitwy,
Dźwiękom psalmów żałobnych, które wieśniacy śpiewali,
Groźne morze wtórzyło, wód swych szumiących przypływem,
Co w bałwanach pienistych, z morza dalekich otchłani
Do swych brzegów wracało, z jasno wschodzącym dnia
brzaskiem.

I wnet znów się poczęły szybkie od brzegu przewozy,
Aż z dnia schyłkiem okręta z portu ruszyły na przestwór,
Zostawiając za sobą głuchą pustynię do koła,
Wies w ruinach, umarłych w grobach na tęskném wybrzeżu.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Długie lata minęły, odkąd zburzono wieś *Grand Pré*,
Gdy z fal morskich odpływem wyszły okręta na prze-
stwór,

Wioząc całą osadę na niepowrotne wygnanie,
Na wygnanie bez kresu, — w dziejach narodów nieznane.
Akadyjscy mieszkańcy na różne lądy wysiedli,
Rozproszeni, rozwiani, jakoby zamieć śniegowa,
Gdy z północy wiatr mroźny, od stron bezludnych zawieje.
Bez przyjaciół, bez domów, próżno szukali przytułku,
Błądząc w krajach nieznanych, błądząc od jezior północ-
nych

W spiekle strefy południa, — to znów od morza wybrzeży
Aż w głąb lądów, z kąd rzeki toczą granity w ocean,
Albo piasku nawałem kryją szkielety Mamutów.
Sobie domu, przyjaciół, dzieciom ojczyzny szukali,
Wielu sercu tęsknemu tylko grób w drodze znalazło,
Wśród cmentarzów na głazach stoją spisane ich dzieje.
Nieraz wśród tych grobowców młodą widziano dziewczę

W cichym smutku, cierpliwie wszystkie znoszącą przygody.
Była młodą i piękną! ale niestety! przed sobą
Życia tylko pustynię głuchą, posępną widziała,
Z ścieżką znaczną grobami tych, co już przed nią cierpieli,
Których znikły nadzieje, wszystkie uczucia pogasły.
Tak jak błędne wygnańców drogi po stepach zachodu
Naznaczone są miejscem ognisk już dawno przetłalanych
I rozrzuconych kości, które skwar słońca wybiela!
Czegoś brakło w jej życiu! serce bolało tęsknotą —
Tak poranek czerwcowy w całym pogody przepychu
Często nagle się wstrzyma, błednie i wraca powoli
Na wschód, tam z kąd przed chwilą na świat wystąpił ra-
dośnie.

W miastach ona niekiedy długo się bawi i błąka
Póki serca gorączka, w dalszą ją drogę nie pogna.
Po cmentarzach błądziła, groby bez nazwisk śledziła
A usiadłszy dumala — czyjeby zwłoki skrywały?
Przeto płacze i wzdycha, by przy nim spocząć też mogła!
Czasem blaha pogłoska, w inne ją strony poniosła
I powiodła daleko — z krańca jednego na drugi!
Czasem także słyszała, że ktoś z kochankiem jej mówił,
Ale gdzie to? i kiedy? miejsca i czasu nie pomniał.
„Gabryel *Lajnesse*, — jedni z pewnością twierdzili,
„Był z Bazylim kowalem — oba tam poszli ku stepom
„Oba sławni wędrowcy — także myśliwi wyborni.“
Drudzy jeszcze mówili — „widzieliśmy Gabryela,
„Podróżuje on w płaskich krajach niższej Luizyany.“
I dodawali śmielsi: „za cóż dlań tęsknisz i marzysz?
„Dziecie drogie! — Czyż młodych, pięknych jako twój
Gabryel?

„Między nami nie widzisz? Błaknieź nam serce i zaćności?
„Wszakże Baptysta *Leblanc* dawniej ci miłość przyrzekał?
„Długie lata wytęsknił, ręką mu szczęście zapewnij.
„Piękną jesteś zanadto, byś miała skryć się w klasztorze?“
Wtedy Ewangelina skrownie mówiła: „Nie mogę;
„Gdzie me serce, tam ręka pójdzie za sercem swobodnie,
„Bo gdy serce wprzód idzie, światłem, jak lampą, przyswieca,
„Wiele rzeczy rozjaśnia, pierwej ciemnością zakrytych.“
Na to kapłan, przyjaciel, z błogim uśmiechem powiadał:
„Bóg przez ciebie, o córko, słowy takimi przemawia!
„Nie mów o stanie uczuć — nigdy uczucia nie giną!
„Jeżeli z sercem się drugiem miłość podzielić nie zdoła,
„Wraca znowu do źródła, daje mu nową pociechę,
„Co wypłyne z krynicy, potem ją szczerdrzej zasila.
„Bądź cierpliwa i spełnij dzieło twojego uczucia,
„Cichy smutek ma siłę, — boską jest stałość cierpliwa!
„Gdy trud spełnisz miłości, — serce twe boskiem się stanie,
„Czystszém, lepszém, silniejszém; niebo je uzna za swoje.“
Tak ją cieszył mąż zacny; — Ewangelina czekała,
Wszakże w sercu jój tętnił psalnem pogrzebnym Atlantyk.
Ale społem zmieszany, jakiś głos szeptał: „nie rozpaczaj!“
Tak szła dalej ta dusza, dalej na trudy i znoje,
Ciężką drogą żywota, głociem i cierniem zasianą.
Muzo! stapać spróbujmy ślady błędnemi wygnanki,
Choć nie w każdy skręt drogi, z rokiem nie każdym lat
 zmiennych.

Idźmy jako wędrowiec z biegem strumienia w dolinie;
Z dala brzegów on widzi czasem, wód lśniących połyski,
Tu i owdzie nurt widzi w miejscach otwartszych i przer-
wach.

Czasem zajdzie w las ciemny, bliżej się pomknie ku brze-
gom,

A choć strumień ukryty, słyszy wciąż jego szemranie,

Szczęśny! jeśli na koniec spotka go tam, gdzie wypływa.

II.

W pięknej porze majowej, w porze radości i śpiewu,
Zdała brzegów *Ohio* — zdała i ujścia *Wabaszu*,
Na prąd rączy, szeroki, złotej *Mississipi* rzeki,
Wpływał statek ładowny, ręką starowną wiedziony
Akadyjskich wiosłarzy. Byli to wszyscy wygnańcy,
Niby szczątki narodu, uszłe z wielkiego rozbicia.
Wiarą wspólną związani — wspólną niedolą i nędzą —
Mężę, żony i dzieci żyli wieściami, nadzieją,
Krewnych swoich szukając, w pośród siół, osad i łanów
Na wybrzeżach Akadyi — wśród *Opeluzy* łąk żyznych.
Z nimi Ewangelina, z nimi był ojciec Felicyan.
Przez piaszczyste pustynie, lasy posępne, odwieczne,
Wartkim pędem dzień po dniu biedni płynęli tułacze,
Noc po nocy przy ogniach spali obozem na brzegu.
Wnet mijając wód spady, wyspy ujrzeli zielone,
Kędy liście palmowe wieją jak pióra na helmach;
Dalej prądem niesieni, wpadli na piaszków laguny,
Gdzie pasmami srebrnymi żwiry błyszczwały pod wodą,

A u brzegu w mieliznie brodził śnieżysty pelikan.
Coraz kraj był płaszczystszy, w pośród czarownych ogro-
dów,

Stały domy planterów, negrów szalasy i chaty.
Znać, zbliżali się w kraje, gdzie wieczne lato panuje,
I gdzie w pośród bogatych sadów pomarańcz i cytryn
Rzeka skrzętem wspaniałym nagle do wschodu nurt zwraca.
Oni też bieg zmieniając, weszli na *Bayou Plaquemine*,
Wpadli w kręty labirynt cichych, spokojnych strumieni,
Które jak sieć ze stali we wszystkie biegly kierunki.
Wzniosłe, ciemne cyprysy nad ich głowami spletały
Dachy z łuków posępnych, skąd się powiewny mech zwieszał,
Jako stare chorągwie z sklepień olbrzymich kościołów.
Głuche śmierci milczenie czasem przerywał swym lotem
Jastrząb z słońcem zachodniem w gniazdo cedrowe wracając,
Albo sowa, gdy księżyc śmiechem szatańskim witała.
Księżyc świetnie po wodach zalsnił i blask swój rozwieszał
Po kolumnach cyprysów, po drzew cedrowych sklepieniu,
Wpadał wewnątrz przez szpary, jakby przez ruin szczeliny.
Niewyraźne i dziwne mary się snuły koło nich,
Owładnęła ich umysł jakaś tęsknota i podziw!
Straszne złego przecucie, zmysłom niewidne człowieka!
Jako gdy się po łące grzmot kopyt końskich rozlegnie,
Drzącem liściem czułości z dala się zwierza na przedzie,
Tak przed ciosów razami smutnem przecuciem niedoli
Drży i tuli się serce, pierwój — nim klęska doścignie.
Ale Ewangeliny duszę wspierało widzenie,
Myśli błędne przed oczy obraz jój luby przywiodły:
Zdało się jój, że tędy przed nią Gabryel wędrował,
I przybliżał się do niej za każdym wiosła popchnięciem.

W miejscu jego, niestety! majtka u steru spostrzegła,
Który w trąbę zadzwonił na znak podróżnym wiosłarzom.
Jeżli jacy w ciemności drogą tą samą płynęli.
Dziko się po krążgankach rozległ dźwięk trąby lesistych,
Złamał pieczęć milczenia, łanom i borom dał mowę,
A mchu lekkie chorągwie ledwie w szmer cichy poruszył.
Liczne echa zbudzone w dali słabniejąc konały
Nad powierzchnią wód drżących, albo wśród gęstwy gałęzi,
Gdy głos żaden nie wracał, żadna odpowiedź nie przyszła,
Smętne, głuche milczenie, było jak powrót boleści.
I zasnęła dziewica, ale czuwali majtkowie;
W północ statek przepływał — nagle zabrzmiała pieśń znana
Kanadyjskich wiosłarzy, jaką śpiewali na brzegach
Niegdyś pięknej Akadyi. — Dźwięk się w pustyni rozlegał
Niewyraźnie, daleko, jako szum wiatru po lesie
Kiedy śpiewy żorawi, rykiem krokodyl zagłuszy.
Tak około południa lasy przebyli; — przed niemi
Jako słońce błyszczwały *Atchafalai* jeziora.
Wodnych lilii miliony za każdym wiosła ruszeniem
Kołysały się lubo, Lotus swą złotą koronę
Wznosił po nad głowami oczarowanych wiosłarzy,
Skwarne, duszne powietrze pełne zapachu Magnolji,
Upajało ich zmysły; mnóstwo wysp w róże usłanych
Ocienionych wierzbami w samo południe ujrzeli.
Przepływając tak blisko do snu nęcących wybrzeży,
Do najpiękniejszej z wysep statek nakoniec zawinął,
Gdzie zmęczeni wiosłarze prace swe na czas rzucili,
I w wierzb gęste zarośle statek ukryli u brzegu,
Pracą nocną znużeni, wszyscy snem zdjęci usnęli.
Po nad nimi roztaczał ciemny cedr chłodne sklepienie,

Z wielkich jego konarów zwieszał się siatką kwiecistą
Powój z krzewy winnemi, jakby drabina Jakóba.
Po jój wschodach powietrznych wędrującemi anioły
Były krasne kolibry, z kwiatów na kwiaty skaczące.
Takie Ewangeliny było widzenie gdy spała,
Z pełnem sercem miłości, marząc o niebie otwartem.

Coraz bliżej tymczasem, między wonnemi wypami
Jakis statek przepływał, lekko i rąco po wodzie
Pchany dzielnie w swym biegu, łowców silnemi ramiony,
Którzy gnali na północ, w kraje bizonów i bobrów.
Sterem wodził młodzieniec z bladym pośpennym obliczem,
Czarne włosy w nieładzie gęsto na czoło spływały,
Smutek widno przedwczesny wyrł mu znamię na twarzy,
Był to tęskny Gabryel! — Długiem znekany czekaniem,
Szedł, w pustyniach zachodu znaleźć przeszłości niepamięć.
Rąco łowcy szybując samą krawędzią ostrowu
Widzieć łodzi nie mogli skrytęj na drugiem wybrzeżu,
Ani śpiących wędrowców; wiosel pieściwe pluskanie
Nie przerwało pokoju. — Stróża Anioła nie było,
Coby śpiącą w téj chwili ze snu obudził dziewczę —
Rąco łowcy przemknęli, jak cień obłoku na łąkach;
Odgłos wiosel zaledwie zcichnął i skonał w oddali,
Gdy się ze snu jak z czaru cała ocknęła druzyna.
„Ojcie, ojcie mój drogi!“ rzekła dziewczica wzruszona,
„Coś mi w sercu tu szepce, że mój Gabryel już blisko,
„Może sen to był tylko, zwodne marzenie lub przesąd,
„Albo anioł przeleciał, prawdę mój duszy objawił.“
I dodała, splonąwszy: „Jakżem ja biedna i słaba,
„Dla cię ojcie te słowa są bez znaczenia żadnego.“
Ale kapłan szanowny tak jój z uśmiechem odrzecz:

„Słów twych córko! znaczenie dla mnie nie czeka jest, nie
blabe;

„Tkwią uczucia w sere głębi, — słowo co na wierzch wy-
plywa

„Jest jak ten znak na wodzie do dna kotwicą przybity,

„Co ostrzega o wirze albo o skałach pod tonią.

„Sercu twemu wierz zatém, ufaj mniemanym złudzeniom!

„Twój Gabryel w istocie blisko być musi, bo w stronie

„Kędy płynie nurt *Techy*, stoją dwa miasta zamożne,

„Święty *Marcin* i *Maur*, stąd na południe niebawem.

„Tam dziewica odzyszcze skarb swój, a pasterz z swój trzody

„Zabłąkaną owieczkę. — Zewsząd krainę czarowną

„Oślaniają ogrody pełne owoców i cienia,

„Łąki kwieciami okryte do stóp wędrowca się ściągą,

„A błękitnych łuk niebios, na ścianach boru się wspiera.

„Luiziany Edenem zowią mieszkańcy tę ziemię.“

Na te słowa podróżni żwawo za wiosła chwycili —
Wieczór cicho zapadał, słońce zachodząc pogodnie,
Jak czarnoksiężnik różeczką siało promienie na ziemię.
Mgły przejrzyste się wzniosły! — Niebo, i wody i lasy
W świetle, zda się, stopniały w jeden ognisty krajobraz.
Między dwoma błękity, niebém i wodą zwieszony,
Jak obłoczek srebrzysty, statek po toniach żeglował.
Serce Ewangeliny słodkim uczuciem wezbrało,
Pełne światła miłości, jako to niebo i wody.
Wtedy w bliskiej gęstwinie ozwał się ptaszek podrzędniak,*)
Który skacząc po wierzbach nisko nad wodą zwieszonych,
Takie fale muzyki z gardła drobnego wyzionął,

*) Mocking bird, oiseau moqueur.

Że umilkło powietrze, lasy i wody słuchały.
Z razu tony płacziwe, wzmogły się potem w szaleństwo,
W upejenie rozkoszy jak na igrzyskach Bachantek —
To znów w cichsze, bolesne, rzewne badanie wpadały,
Aż w nawałność skupione, pękły jak straszny uragan.
W końcu ciężko spadając, jako gdy wichur po burzy
Strząsa z drzewa wierzchołków kryształ na liście.
Z taką śpiewu przygawką, z takim serce silnym wzru-
szeniem,
Wnet wpłynęli na *Techę*, pomiędzy łąki zielone,
Wnet w powietrzu przejrzystym, ponad wierzchołkiem za-
rosli,
Słupy dymu ujrzeni z bliskich wznoszące się mieszkań,
Usłyszeli głos rogu, — potem ryk bydła w oddali.

III.

Blisko *Techy* wybrzeżów, zewsząd okrytych dębami,
Których silne gałęzie mech i jemiola wieńczyły,
Taka, jaką Druidy złotym toporem ścinałi,
Stał osobno i cicho domek pasterza nadobny.
Ogród kwiatów grzędami w koło go pasem otaczał,
Siejąc wonie w powietrze. Dom był z cyprysu stawiony,
Dach szeroki i wzniosły wspierał rząd kolumn wysmukłych,
Lekki ganek na przedzie powój z różami oplatał:
Tam był ptasząt przytułek, pszczoły tam w rojach brzę-
czały;

Z każdej strony domostwa, wpośród kwiecistych trawników,
Gołębniki błyszczały wiecznym symbolem miłości,
Zalecanek ustawnych i bitew ustawnych siedliska.
Cichość była nad domem. Światła i cieniów granica
Na drzew wierzchy padała, ale dom cały był w cieniu,
A z komina szły w górę dymu kolumny błękitne.
Z drugiej strony domostwa, bramę ogrodu minawszy,
Między dębów rzędami, ścieżka zbiegała na łąki,

W których morzu kwiecistém słońce swe światło nurzało.
A jak stoją okręta w ciszy skwarne go zwrotnika,
Kiedy żagle i liny spadną na maszty bezwładnie,
Tak drzew grono tam stało w winną latorośl osnute.

W miejscu gdzie się stykały lasy z kwiecistym kobiercem,
Pasterz siedział na koniu w siodło przybrany hiszpańskie;
Same miał schludne odzienie, spodnie i spencer losiowy,
Twarz spaloną osłaniał brzegiem szerokim kapelusz.

W okoliczne te pola z dumą on pana poglądał;
W okół niego spokojnie trzody rozliczne się pasły
W pośród trawy na łąkach, świeżość wieczoru chwytaly,
Która z rzeki powstając, wszystko w około wiliżyła.

Róg zwieszony u boku, jeździec podniósłszy po chwili,
Silne piersi wyteżył, taki głos z rogu wydobył,

Że się całe powietrze wstrzęsło jak gdyby od grzmotu.

Na ten odgłos znajomy, z trawy wysokiój podniosło

Bydło białe swe rogi, białe jak piany szeregi,

Gdy na morzu powstanie walka wzburzonych balwanów.

Trzoda w okół spojrzała — rycząc pobiegła przez łąki,

Wnet się zdała tumanem, jednym obłokiem kurzawy.

Pasterz zwrócił do domu, wjeżdżał przez bramę ogrodu;

W tém idących ku sobie ujrzał kapłana z dziewczą —

Żwawo z konia zeskoczył, pełny radości, zdziwienia,

Pędem rzucił się ku nim z wyciągniętymi rękoma.

Gdy ujrzeli twarz jego. „To nasz Bazyli,“ krzyknęli.

Uściskawszy serdecznie gości swych w ogród wprowadził;

Tam w chłodniku róż wonnych liczne naprzemian pytania,

By dać folgę uczuciom, wzajem przyjaźnie wznawiali,

Placząc, śmiejąc się znowu, albo w milczeniu dumając.

Ah! dumiała dziewczica, bo nie nadchodził Gabryel.

Więc znów tęskne obawy w sercu jęj troskę budziły.

Aż Bazyli nareszcie smutek zgadując, zawołał:

„Jakże, jeźliście wody *Atchafalai* przebyli,

„Jakżeście Gabryela mogli nie spotkać po drodze?“

Lica Ewangeliny bladość cierpienia powlokła,

Oczy łzami zabiegły, usta drżącemi spytała:

„Więc Gabryel odjechał?“ Potém mu padła w objęcia,

Dając wolność żalowi, rzewnie i gorzko płakała.

Wtenczas dobry Bazyli głosem przyjaznym jęj mówił:

„Biedne dziecko nie smuć się! — dziś on dopiero odpłynął,

„Dziwny to, dziwny chłopiec! ojca samego zostawił,

„Z końmi, z trzody licznemi — ale był zawsze milczący,

„Niespokojny, i nie mógł dłużej znieść życia w cichoci.

„Bez ustanku o tobie mówił, i dumał i płakał,

„Tak nieznosnym się w końcu zrobił dla ludzi i dla mnie,

„Żem nareszcie już przystał, aby go w podróż wyprowadzić,

„Ztąd do miasta *Adages*, w którym są targi na muły.

„Ztamtąd pójdzie z Indjany w góry *Ozarku* na łowy,

„Będzie lisy zabijał, lub chwytal bobry po rzekach.

„Przeto nie smuć się córko! — Twego kochanka dogonim,

„Nie jest jeszcze daleko — przeciw zaś sobie ma lasy,

„I strumienie rzek wielkich! — Jutro o świcie wyruszym.

„Dogonimy go prędko — więźniem napowrót przywodząc.“

Wtedy od brzegów rzeki głosy radości się wzbily,

Skrzypek Michał przybywał, niesion na rękach przyjaciół.

W Bazylego on domu żył, jako bóg na Olympie,

Innej pracy nie znając, okrom grywania śmiertelnym.

Sławę miał on daleką z włosów srebrzystych i skrzypców.

„Niech nam żyje nasz Michał, minstrel Akadyi!“ wołali.

W tryumfalnym orszaku wznosząc go w górę na rękach.

Kapłan z Ewangeliną starca witali uprzejmie,
Dawne czasy i dzieje często na pamięć przywołując.
Rzesko, hucznie Bazyli gości wchodzących przyjmował,
Śmiał się, kręcił, radował, ścisnął dziewice i matki.
Wielce byli zdziwieni, widząc dawnego kowala
Patryarchą tych włości, trzody bogatęj dziedzicem;
Wielce byli zdziwieni, gdy im powiadał o kraju,
O klimacie, o gruntach, przytém o łąkach, na których
Niezliczone trzód stada pierwszy, co zechce, zdobywa.
W duchu każdy pomyślił, że mógł téż zrobić podobnie.
Takie ciągnąc rozmowy, chłodem cienistęj werandy
W Bazylego dom weszli, — w którym już uczta wieczorna
Na ich powrót czekała. — Społem téż do nięj zasiedli.

Nad wesołą biesiadą noc rozpostarła swe mroki.
Zewnątrz cisza w około; — srebrząc szeroki widnokrąg
Wznosił się wmgłę przejrzystęj księżyc w nadobnym gwiazd
gronie.

Wewnątrz świetnięj niż gwiazdy twarze przy lampach ja-
śniały;

Wtedy z krzesła wzniosłego chętny gospodarz powstawszy,
Sercem pełném obficie wina w kielichy nalewał,
A zapaliwszy fajkę przednim tytoniem nabiłą,
Tak wszczął prawić swym gościom, którzy go pilnie słu-
chali:

„Raz was jeszcze pozdrawiam, was, mych przyjaciół i braci,
„Coście lata tak długie w smutku i w nędzy spędzili;
„O! raz jeszcze was witam, dzisiaj już w lepszej siedzibie.
„Głodna zima w tym kraju krwi jako wody nie ścina,
„Ani skalna tu rola gniewy obudza rolnika.
„Lekko ziemię pług kraje, jak łódź jeziora powierzchnie;

„Przez rok cały pomarańcz drzewa tu kwitną — i więcej
„Trawy w jedną noc wzrośnie, niżli przez lato w Kana-
dzie;

„Tutaj trzody rozliczne same po łąkach się pasą,
„Tutaj ziemi dostaniesz, skoro poprosisz, bez kupna,
„Silnych belek na domy lasy ci same dostarczą,
„A gdy staną mieszkania, żniwa poółkną na łąkach,
„Żaden z Anglii król Jerzy z cichych was siedzib nie wygna,
„Ani spali budynków, zboża ni trzody nie skradnie!“
Powiedzawszy te słowa, straszny kłęb dymu wyzionął,
I uderzył w stół pięścią grzmącą jak łoskot piorunu.
Wszyscy goście struchleli — Ojciec Felicyan zdziwiony,
Na wpół drogi do nosa szczyptę tabaki zatrzymał.
Kowal kończył rozmowę, w słowach już cichszych, wesel-
szych:

„Tylko febry się strzeżcie, strzeżcie, najdrożsi rodacy,
„Tutaj bowiem jest ona inną jak w naszej Akadyi,
„Gdzie wnet z niej się wyleczysz nosząc pajaka w orzechu.“
Wtedy głosy się nowe, nowe rozległy stapania,
U drzwi domu, na wschodach i po podłodze werandy.
Kreolczycy sąsiedni, drobni z Akadyi plantery,
Na wezwanie spieszyli wszyscy odwiedzić pasterza.
Rzewne było spotkanie dawnych przyjaciół, sąsiadów,
Nawet wprzód nieznani, kiedy spotkali się teraz
Na wygnaniu, w stosunki ścisłej przyjaźni wnet weszli,
Pomnąc na to, że jedna była im wspólną ojczyzna.
Wraz z przyległej komnaty dźwięki taneczne zabrzmiały.
Któż nie poznał czarownych skrzypka Michała akordów?
Wszystkie mowy przerwano, żwawo jak dzieci ucieszne,
Zapomniawszy o troskach, wszyscy się w taniec puscili,

Który w szybkich obrotach, goniąc za taktem muzyki,
Zdał się sukien szelestem senne widziadła przedrzeźniać.

Zdała w głębi komnaty kapłan z pasterzem siedzieli,
Przebiegając w rozmowie przeszłość, obecność i przyszłość.
Przy nich Ewangelina stała jak czarem przykuta,
Roje wspomnień wskrzeszając; w tonach wesołej muzyki
Usłyszała szum morza — serce jej smutek ogarnął —
Wyszła niepostrzeżona, w ogród przed tłumem się chroniąc.
Piękną, cudną noc była! Wschodząc z za boru poważnie,
Drzew wierzchołki ośrebrzać pełny już księżyc poczynił;
Przez wzruszone gałęzie światło kapiące na rzekę
Drżało jak błysk miłości w duszy cierpieniem zmroczonej.
Wonne kwiaty w koło niej zdawały się modlić do nocy,
Która cicho kroczyła, jak zakonnica milcząca.
Woni, czaru pełniejsze, serce dziewczycy tajało,
Światło nocy uroczę drgało po strunach jej ducha,
Przepelniając go tłumem dziwnych uniesień i żalów,
Kiedy bramą ogrodu przeszła wśród dębów cienistych,
I ujrzała się sama nad łąk obszarem bez granic.
Łąki śniły pokojem, mgłami srebrnymi marzyły;
Świętojańskie robaczki drgały iskrami po trawie —
Nad nią gwiazdy błyszczały jak myśli Boga w niebiesiech,
Darmo temu świecące, który Go wielbić zaprzestał,
I nie uczi, aż znowu ujrzy groźnego kometę,
Co na murach pałacu słowo *Ruina* zapisze.
Tak samotna dziewczyna wpośród tych światel wędrując,
Zawołała w tęsknocie: „O Gabryelu mój luby!
„Jestżeś przy mnie tak blisko, przecież cię ujrzeć nie mogę!
„Jestżeś przy mnie tak blisko, czemuż słów twoich nie
słyszę?

„Ach! jak często tą ścieżką pewnie na łąki chodziłeś,
 „Ach! jak często twe oczy na te tu lasy patrzyły,
 „I jak nieraz w tym cieniu, pod tym tu dębem po pracy
 „Spoczywając zmęczony, marząc o twojej kochance!
 „Kiedyż oczy cię ujrzą, kiedyż me ręce obejmą?“
 Nagle głośno tuż przy niej ozwał się pułacz żałosny
 Jak jęk fletu: krzyk jego dzikie poruszył zarośla,
 Pierzchał dalej i dalej, aż się w milczenie pogrążył.
 Ale, jakby wyrocznie, dęby jęj rzekły: „Cierpliwość!“
 A z łąk eichem westchnieniem coś jęj szemrało o „Jutrze.“

Słońce wstało nazajutrz w całym pogody przepychu,
 Kwiaty łzami skropiły stopy błyszczące poranka,
 Z kryształowych kielichów balsam na włosy mu lejąc.
 „Bądźcie zdrowi, rzekł kapłan, kiedy ich żegnał u progu,
 „Niechaj syn marnotrawny wraca z wygnania co prędzej,
 „I niemądra dziewczica, która przespała tę porę,
 „Kiedy ją oblubieniec zdala przybywał nawiedzić.“
 „Bądź zdrów, ojcze mój drogi,“ rzekła dziewczica z uśmiechem,

I z Bazyliem nad rzekę zeszła do łodzi gotowej.
 Z dnia porankiem zaczęli podróż wesoło ze słońcem —
 Za wędrowcem płynęli, który uchodził przed nimi,
 Pomiatany jak wichrem liście uwiedle w pustyni.
 Ale ani dnia tego, ani następnych dni wielu,
 Nie znaleźli poszlaki, — żadne ich wieści nie doszły.
 Na jeziorach, po lasach, wzdłuż rzek pytali się wszędzie,
 Przecież nigdzie stanowczych powziąć pogłosek nie mogli,
 Tylko blahe, niepewne, jakby dla żartu powieści,
 Wiodły ich przez pustynie, niby płomyki zwodnicze.
 Aż nareszcie w oberży w mieście hiszpańskiem *Adayes*,

Gdy podróżą strudzeni, na ląd wysiedli ze statku,
Gadatliwy gospodarz smutną ich wieścią powitał,
Że dniem wprzód Gabryel z końmi i gronem myśliwców
Opuściwszy to miasto, w drogę ku stepom podążył.

IV.

W głęb na zachód kraina pustyni się ciągnie obszernych,
Gór się bielą wierzchołki, śniegiem wieczystym po-
kryte.

Tam jest wąwóz skalisty, którym jak bramą straszliwą
Przeciskają się koła wozów podróżnych wygnańców.
Z tamtąd płyną na zachód *Wallway, Oregon, Owyhee*,
Z tamtąd na wschód wężykiem biegnie rokoszna *Nebraska*.
Na południe, po skałach gnane wichrami pustyni,
Niezliczone strumienie pędzą do morza w zawody,
Zda się jakby na arfie struny jękliwie dźwięczące. —
Wśród strumieni rozslane łąki cudownej piękności,
Na przemiany jak morze cieniem i światłem falują,
Strojne w krasnych róż szlaki i purpurowe amorfy.
Tam się pasą bawoły, dzikie jelenie i kozy,
Stada wilków wciąż wyją, konie hasają bez jeźdźców,
Skwary niszczą i palą, wichry się męczą podróżą,
A w rozproszonych hordach błędzą Izmaela dzieci,
Krwia pustynię zlewając; — nad ich głowami wśród bitwy

Kraży w koło, zawisa, sęp na swych skrzydłach wspaniałych,

Jakoby duch zawzięty wodza, co zdradą zabity,
Przez niewidome schody z niebios do walk znów zstępuje!
Tu i owdzie obozy dymią się Indyan nomadnych,
Tu i owdzie zabłyśnie strumień z pomiędzy zarośli,
Ryknie niedźwiedź ponury, jak anachoret pustyni,
Sunąc się w przepaściste brzegi za roślin korzeźmi;
A nad wszystkiem wiszące niebios sklepionych przezroczne,
Jakby zgięta nad niemi Boga wszechmoena prawica.

W głąb téj dziwnej krainy u stóp łańcucha gór *Ozark*,
Już *Gabryel* był zaszedł, ciągle łowami zajęty;
Za nim z *Ewangeliną* dążył *Bazyli* dzień po dniu,
Przewodników indyjskich mając przy sobie, w pogoni.
Nieraz zdalo się widzieć — albo myśleli że widzą
Dymy nocnych legowisk zdala w rozległej płaszczynie,
A gdy mrokiem z nadzieją w sercach przybyli do miejsca,
Znajdywali już tylko węgle popiołem przygasłe.
Lecz choć podróż niekiedy ciała i serca nużyła,
Naprzód przecież nadzieja zawsze ich wiodła bez przerwy,
Jako *Fata Morgana*, co się wciąż cofa i znika.

Siedząc raz u ogniska, błędną Indyankę ujrzeli,
Któręj postać i lica boleśń głęboką zdradzały,
I cierpliwość bez miary. Śmiało zbliżyła się do nich.
Shawnee była to młoda, która z daleka wracała
Do rodzinnej siedziby; z głębi wracała obszaru
Barbarzyńskich *Kamanchów*, którzy jej męża zabili.
Jéj opisy boleśńie serca słuchaczów przejęły;
Tkliwém słowem pociechy kość poczęli jéj żale,
I prosili, by z nimi siadła wieczrę podzielić,

Uskwarzoną na węglach pieczeń bawołą i sarnią.
Gdy wieczerzę skończyli, dzienną podróżą strudzony,
Z znużonymi łowcami ciągną gonitwą bizonów,
Złożył członki Bazyli do snu na ziemi przy ogniu,
Który w ciemne ich twarze rzucił polyski dziwaczne.
Gdy tak w płaszcze zwinieci spali w około ogniska,
Przyszła do drzwi namiotu Ewangeliny Indyanka,
I usiadłszy, poczęła głosem łagodnym powiadać
Dzieje swojej miłości, szczęście, boleści i kłęski.
Łzę niejedną wylała, słysząc tę powieść dziewczica,
Widząc serce co równie ciężkich doznało zawodów;
Nad niedolą Indyanki litość głęboką uczuła,
Jednakże w swoim strapieniu ulgi doznała niemaliej,
Że ktoś przecie był przy niej co równie kochał i cierpiał.
Więc nawzajem Indyance swoje wyznała przygody,
A ta mileząc słuchała. Dawno już powieść skończona,
Mileczy przecież Indyanka. Nagle jak gdyby strach jaki
Na mózg biednej uderzył, usta otwiera i prawy
O Mowisie, co pojął piękną dziewczęć za żonę,
Lecz gdy ranek zabłysnął, on oblubieniec śniegowy,
Powstał, wyszedł z namiotu, w świetle słonecznym roztajał.
Biedna, tęskna dziewczica już nie ujrzała go więcej,
Choć w las za nim chodziła. Potem cichszemi słowami,
Które brzmiały jak gdyby słów czarnoksiężskich zakęcie,
Powtórzyła jej powieść o Lillinau nadobnej,
Którą upiór pokochał, spłynął z sosnowych gałęzi
Mrokiem w namiot jej ojca, wkradł się do serca dziewczicy,
Jako powiew wieczora pojąc ją czarem miłości,
Aż ujęta w las poszła za jego piórem zielonem
I przepadła gdzieś marnie, nikt już ją więcej nie ujrzał.

Z podziwieniem w milezeniu Ewangelina słuchała,
 Czarodziejstwa świat cały zdawał się krążyć w koło niej.
 Jak czarodziejka w środku czarna Indyanka wieszczyla,
 Zwolna wznosił się księżyc ponad szczytami *Ozarku*,
 Oświecając drobniutki namiot swym blaskiem uroczym,
 Drżących liści dotykał, wnet i las cały zappełnił.
 Słodko dźwięczył w dolinie strumień, a sosen gałęzie
 Nad głowami szemrały ledwie słyszaném westchnieniem.
 Serce Ewangeliny falą miłości wzbierało,
 Przecież troska i przestach w pierś się tajemnie wciśkały,
 Jako z jadem wąż zimny wkłada się w gniazdo jaskółki.
 Nie był ziemski to przestach. Z duchów krainy powietrznej
 Ciekł na ziemię dreszcz jakiś. Strach ją na chwilę ogarnął,
 Czy jak tamta Indyanka również nie goni za marą?
 I z tą myślą usnęła — znikły w śnie mary i troski.

Z rannym brzaskiem podróżni w dalszą się drogę puscili;
 W drodze rzekła im *Shawnee*: „Na spadku gór tych zachodnim

„Mieszka w małej wiosce missyi naczelnik pobożny,
 „O Jezusie i Maryi świętą historiją naucza,
 „A Indianie raz płaczą, to się radują, słuchając.“
 Wtedy z tajném wzruszeniem Ewangelina odrzekła:
 „Idźmy — idźmy do missyi — dobre tam wieści znajdziemy.“

Tam więc konie zwrócili. — U góry wyniosłej załamku,
 Właśnie z słońcem zachodniém, ludzkich szmer głosów
 powzięli,

Wnet nad brzegiem strumienia, wpośród obszernej doliny
 Jezuickiej missyi białe ujrzeli namioty.

W samym cieniu namiotów, w cieniu pod dębem olbrzymim

Z dziećmi swemi w Chrystusie klęczał naczelnik duchowny.
Na pniu dębu wysoko, w winogrodowej osłonie,
Wisiał krzyż z Zbawicielem, który cierpiącym obliczém
Na tłum ludu klęczący z góry litośnie spoglądał.
To ich wiejska kaplica! W górze, pod luków wiązaniem
Nadpowietrznój budowy, śpiewy przytomnych nieszporne,
Tkliwe tony łączyły z szmerem poważnych konarów.
Z odkrytymi głowami bliżej podróżni podszedłszy,
Na murawie uklękli, ręce do modłów złożyli.
Gdy się już nabożeństwo całe odbyło, i kapłan
Rozsiał błogosławieństwa, jako siew rolnik na pola,
Wtedy z wolna mąż zacny do nieznajomych się zbliżył,
I uprzejmie powitał, z kądby przybyli pytając;
A gdy z ust ich odpowiedź w mowie rodzinnej usłyszał.
Spłonął błogą radością, w namiot zaprosił swych gości,
Gdzie na matach i skórach siedli, i jedząc kolacze
Z kukuruzy indyjskiej — wodą pragnienie gasili.
Skoro powieść skończyli, kapłan im odrzekł poważnie:
„Ledwie szósty dzień mija — kiedy Gabryel tu siedział
„Na téj samój tu macie, którą dziewica zajmuje.
„Opowiadał to samo, powstał, i dalej podążył.“
Słodkim głos był kapłana, pełnym ojcowskiej dobroci,
Ale jego wyrazy spadły na serce dziewczicy,
Jako spada śnieg w zimie w gniazdo, z kąd ptaki uciekły.
„Szedł daleko na północ — mówił znów kapłan — w je-
sieni,
„Gdy się łowy ukończą, przyrzekł tu do nas powrócić.“
Wtedy Ewangelina rzekła do niego pokornie:
„Z wami tutaj zostanę — duszę mą boleś przytłacza.“
Ucieszyła tém wszystkich. Zaraz z następnym porankiem

Siadłszy na koń Bazyli, z przewodnikami się puścił
Nazad w drogę do domu. — Ona przy missysi została!..

Zwolna dnie się ciągnęły jeden za drugim jednako,
Dnie, tygodnie, miesiące. Rzędy kukuruz na łanach
Ledwie były zielone, gdy tu przybyła wygnanka, —
Teraz w górę wybiegłe, wyżej nad głowę dziewicy,
Gałązkami i liśmi ciemne splatały kryjówki,
Cele dla wron żebraczych, śpichrze dla echiwych wiewiórek.
Złota pora nadeszła, w której poczęto je łuskać:
Jeżli która dziewica ziarno znalazła czerwone,
To wróżyło kochanka; jeżli był słupek skrzywiony,
Do rozpuku się śmiała, zowiąc go łanów złodziejem.
Biednej Ewangelinie nawet czerwonych ziarn wróżba
Nie przyniosła kochanka, z łowów Gabriel nie wracał!
„Miej cierpliwość — ksiądz mawiał — zadość się modłom

„Patrz na słabą roślinę, która z téj łąki wyrasta,
„Jako magnes na północ wszystkie jej liście wskazują;
„Bóg na wątłej łodydze drobny ten kwiatek zawiesił,
„By podróżnych kierować po tych pustyniach bez granic.
„Taką w duszy człowieka stałą wskazówką jest wiara.
„Kwiaty uczuć gwałtownych mają i barwy i wonie
„Stokroć od tych piękniejsze, ale nas mylą i zwodzą,
„A ich zapach zabójczy. Tylko ta skromna roślina
„Zdoła w życiu doczesnem wodzić bezpiecznie, a w niebie
„Da nam z kwiatów koronę, rosą świętości skropionych.“

Tak i jesień nadeszła — po niej znów zima przybyła,
A Gabriel nie wracał. — Wiosna rozbłysła nadobnie,
Ściełając kwiaty po łąkach, budząc do śpiewu po kniejach
Chóry ptaków radośnych, ale Gabriel nie wracał.

W końcu, z lata nadejściem, wiatry przyniosły pogłoskę
Niż kwiat wiosny piękniejszą, miłszą niż śpiewy tych pta-
sząt,

Że Gabryel daleko w wschodnio-północnym kierunku
W głębi lasów *Michigan* nad *Saginawy* brzegami
Miał swój szałas myśliwski. Wraz więc pospołu z łowcami,
Którzy ztamtąd szli w stronę jezior Świętego Wawrzyńca,
Z smutkiem missyą żegnając, w podróż dziewica ruszyła. —
Gdy po ciężkiej wędrówce, długich i przykrych pochodach,
Wśród niebezpieczeństw zaszła w samą głąb borów *Mi-
chigan*,

Już tam łowców nie było — szałas znalazła zwalony!

Tak się smutno ciągnęły dnie, i miesiące i lata,
W różnych stronach i porach błędą dziewicę widziano,
Raz w mileczących namiotach braci Morawskich — to znowu
Wśród zgielkliwych obozów — albo na polach bojowisk,
Czasem w siołach samotnych, czasem znów w miastach bo-

Jako cień się jawiła, jako cień nikła bez śladu.
Była piękną i młodą idąc w wędrówkę z nadzieją —
Zgasła młodość i krasa w końcu zawodnej podróży,
Każde lato następne wdzięków jej częśćkę skradało,
Zostawiając po sobie głębszą posępność i cienie.
Wnet nad czołem jej błysły strugi srebrzyste we włosach,
Świt to życia lepszego, wstawał nad ziemską jej drogą,
Jak na niebie u wschodu pierwsze jasności poranka!

V.

W kraju słynnym z piękności, nad *Delawary* brzegami.
Gdzie po gajach cienistych *Peuna* wslawione jest
imię,

Stoi miasto zamożne, które założył i nazwał.
Tam balsamem powietrze, godłem piękności brzoskwinie,
Tam ulice swe nazwy od drzew po lasach przybrały,
By przebłagać Dryady, w których wkroczyły siedliska.
Tam to Ewangelina z morza burzliwych zawodów,
Jakby w porcie stanęła. Jeszcze wygnanka, a przecie
Między *Peuna* potomstwem dom i ojczyznę znalazła.
René Leblanc tam stary życie zakończył cnotliwe,
W chwili skonu z stu dzieci ujrzał li jedno przy łożu.
W samych miasta ulicach dla niej pociechą coś tęnęło,
I coś sercu mówiło — tutaj nie jesteś już obcą!
Mile brzmiało w jej uchu kwakrów tykanie w rozmowie,
Akadyjską ojczyznę silnie budziło w pamięci,
Kędy lud żył w równości, wszyscy jak bracia i siostry.
Tak, gdy próżne zabiegi, przykre, daremne szukania

Już skończyły się dla niej — i rozpoczynać na ziemi
Nie pragnęła ich więcej, cicha, bez żalu, w te miejsca,
Jakby liście do światła — myśli i kroki zwróciła.
Jako gdy mgły poranka przez gór wierzchołki przepłyną,
Zdała cały krajobraz widzim pod stopy naszymi,
Wszystko w słońcu błyszczące — rzeki, i miasta i siola,
Tak też Ewangelina, gdy mgła z jej duszy opadła,
W dole zdała ujrzała świata ziemskiego równinę,
Już nie ciemną, lecz całą światłem miłości promienną, —
A po góry urwiskach gładko wijącą się ścieżkę,
Którą aż tu się wdarła na szczyt pokoju nadziemski.
Żył Gabryel w jej duszy, w sercu był obraz kochanka
W pełni wdzięków młodości, jak go widziała przed laty,
Tylko jeszcze piękniejszy przez oddalenie i żalność.
W myślach o nim w rachubę czasu brać nigdy nie śmiała,
Lata nad nim choć długie, żadnej potęgi nie miały.
Był przemienion, nie zmienion. Był jako zmarły przyja-
ciel,

Wciąż obecny w pamięci! Cichość, cierpliwość, pokora,
Miłość bliźnich bez granic, oto co z życia boleści,
Z życia trudów wyniosła. Miłość dziewicy w okolo
Rozpłynęła się szerzej, ale bez ujmy, bez straty,
Jak te wonne rośliny, które wciąż sycą powietrze.
Żadnych życzeń już w życiu, innych nadziei nie miała,
Tylko kroki kornymi za Zbawicielem iść w ślady.
Miłosierdzia siostr wzorem tak tam lat wiele przebyła,
Nawiedzając poddasza w ciasnych, samotnych uliczkach,
Gdzie przed światłem się dzienném kryły niedola i nędza,
Gdzie choroba i troska pieczy wzywała daremnie.
Noc po nocy, gdy wszyscy spali już w mieście mieszkańcy,

Strażnik, co wywoływał: „Wszystko tu dobrze się dzieje,
Widział zawsze ję lampę gdzieś tam w samotném okienku;
Z rannym brzaskiem, dzień po dniu na targ idący wiesniacy
Z owocami i kwieciami, często spotkali ją samą,
Z twarzą bladą, znużoną, jak w dom wracała od chorych.

Spadła klęska na miasto, spadła zaraza straszliwa,
Poprzedzona wieszczbami. Kryły dnia światło w przelocie
Stada dzikich gołębi, żołądź na pokarm niosących,
A jak z morza przypływem w porze jesiennęj, we Wrze-
śniu,

Wzbierze potok srebrzysty, stanie jeziorem na łące,
Tak śmierć życie zalała; z brzegów swych nagle wyparty
Srebrny strumień istnienia, w błotne się rozlał jezioro.
Piękność ująć nie mogła, ani bogactwo przekupić,
Możny, czerstwy, urodny padał zarówno pod ciosem,
Biedny tylko niestety! sług ni przyjaciół nie mając,
Włókł się umrzeć w szpitalu, nędznych schronieniu jedy-
ném.

Szpital stał na przedmieściu między sadami na łące;
Dziś go miasto otacza, przecież po środku przepychów,
Skromna brama i mury zdają się kornie powtarzać
Święte słowa Chrystusa: „Biednych mieć zawsze będziecie.“
Dnie i noce tam ona biegła jak siostra troskliwa.
Konającym się zdało, gdy w ję oblicze patrzali,
Że ję skronie otacza światło niebiańskie, jak owe,
Które malarz nad czołem Świętych promiennie zawiesza,
Lub jak owe, co w nocy widać z daleka nad miastem,
Zdało się im, że widzą światłość stolicy przedwiecznęj,
W której bramy gwiaździste wkrótce ich duchy wejść miały.

Raz w Niedzielę, o świcie, ciche przebiegłszy ulice,

Weszła w mury szpitala, kwiaty woń siałą do koła,
Krok wstrzymała na chwilę, zrywać piękniejsze poczęła,
By ich krasą i wonią umierających pocieszyć.
Gdy wstąpiła na wschody, chłodne wschodniemi powiewy,
Z pobliskiego kościoła dzwon się świąteczny odezwał,
Słychać było zarazem, echem po łakach niesione
Psalmy, które śpiewali Szwedzi w kaplicy *Wikato*.
Jakiś urok niezwykły duszę ogarnął dziewicy,
Jakiś głos zdał się mówić: „Oto twa próba skończona!”
I z pogodnym wejrzeniem w progi boleści wstąpiła.
Cicho w koło przy łóżach snuła się służba troskliwa,
Wilząc usta spragnionych, chłodząc ich skronia palące,
Zgasłe oczy zwierając i pokrywając oblicza
Zmarłych, którzy leżeli jak zaspy śniegu przy drodze.
Podniósł czoło nie jeden, lub na wezglowiu przewrócił,
Aby spojrzeć błagalnie na przechodzącą dziewicę,
Bo jej błoga obecność tak na ich serca padała,
Jak gdy mury więzienia promień słoneczny oświeci.
Ona, wkoło spojrzawszy, okiem litośnym spostrzegła,
Jak śmierć serce nie jedno już zagoiła na zawsze.
Wielu w nocy ubyło, wielu ze znanych tak dobrze;
Próżne łóża ich były — albo zajęte przez innych.

Nagle jakby wstrzymana trwogą lub jakim podziwem,
Blade usta rozwarła, zimny wskrós po niej dreszcz przebiegł,
I zapomniane kwiaty z dłoni wypadły na ziemię.
Całe światło i świeżość z oczu i z twarzy jej znikły,
Z piersi wydarł się gromem taki krzyk strasznej boleści,
Że konający w trwodze na swych się wzniesli wezglowiach!
Na tapczanie tuż przed nią leżał znędzniały mężczyzna,
Siwe włosy spływały rzadko na czoło wysokie,

Twarz ku światłu zwrócona znowu na chwilę przybrała
Rysy męskiej młodości. Tak się przed śmiercią zmieniają
Konających oblicza. Jeszcze gorączki płomienie
Ramienily mu usta; zda się że życie swe wrota
Naznaczyło krwi piętnem, jak drzwi hebrajskich dzieciątek,
Aby śmierci posłannik znak ten rozeznał i przeszedł.
Chory leżał bezwładnie, ruchu i czucia już nie miał.
A duch jego się zdawał tonąć w otchłanie ciemności,
W niezliczone otchłanie niżej i niżej zapadać,
W tych to mroków przepaściach krzyk ów przez mnogie
odbicia

O słuch jego się odbił. Cichość grobowa nastała.
Przez nią spłynął dźwięk tkliwy, jakby anielskie wołanie:
„Gabryelu! mój luby!“ — przemknął i zapadł w milczenie.
Wtedy ujrzał on we śnie jeszcze raz dom swój rodzinny,
Barwne łąki Akadyi, rzeki gajami ozdobne,
Wieś, i wzgórza i bory, — a pod ich cieniem chodzącą.
Jak w dniach szczęśnej młodości, Ewangelina nadobna
Weszła w jego widzenie. Oczy mu łzami zabiegły,
A gdy podniósł powieki, znikło młodości widzenie,
Tylko Ewangelina sama klęczała przy łożu.
Darmo pragnął jęj imię, drogie jęj imię wymówić,
Dźwięki marły na ustach, ruch ust objawiał jedynie,
Coby język wyraził, gdyby mu mowa wróciła.
Darmo wstać usiłował. Ewangelina klęcząca
Sine usta całując, głowę na łonie złożyła.
W oczach tlał mu blask cudny, ale wnet zamierzchl w cie-
mnościach,

Jako lampa na oknie wiatru podmuchem zgaszona.

I wszystkiemu był koniec, trwodze, nadziei, boleści,

Wszystkim serca męczarniom, ciągłym bez ulgi pragnieniom,

I cierpieniom ustawnym samą cierpliwość dręczącym.

Gdy raz jeszcze dziewica martwą tę głowę do łona

Przycisnęła z boleścią, własną skłoniła spokojnie,

I skoła westchnieniem: „Dzięki ci Ojcie niebieski!“



Jest pierwotny bór jeszcze! ale od niego daleko
Razem w grobach bez nazwy dwoje kochanków spoczywa.
Pod skromnemi murami katolickiego cmentarza,
W środku miasta ludnego leżą nieznani nikomu,
Codzień fale żywota płyną a płyną nad nimi,
Serc tętniących tysiące, kędy ich serca spoczęły,
Głów cierpiących tysiące, kędy ich głowy bez życia,
Rąk pracownych tysiące, kędy trud zbyły ich dłonie,
Stóp znużonych tysiące, kędy skończyli swą podróż.

Jest pierwotny bór jeszcze! ale pod jego osłoną
Mieszka obce już plemię, innych zwyczajów i mowy!
Tylko brzegiem, gdzie mglisty toczy swe wały Atlantyk,
Ledwie z rodu dawnego kilku się błąka wieśniaków,
Których ojce wróciły umrzeć na ziemi rodzinnej.
Jeszcze w chatach rybackich tkają przędziwa na krośnach,

Jeszcze noszą dziewice czepce normandzkie i stroje,
Pieśń o Ewangelinie nucąc przy ogniach wieczornych.
Z głębi jaskiń skalistych huczy ocean sąsiedni,
A bór tony tęsknemi rzewną mu daje odpowiedź!

KONIEC.





Oprawę wykonano w pracowni
Sodalitas Bibliologica Silesiana
w dniu . . . 31. 5. 2007. . .

BIBLIOTEKA

Uniwersytetu Śląskiego

Nie wypożycza się

2132665